

VII Plenum KC PZPR zakończyło dwudniowe obrady

Deklaracja ideowa „O co walczymy, dokąd zmierzamy” będzie poddana pod ogólnopartyjną debatę

• Dalszy ciąg dyskusji • Przyjęcie uchwały • Marian Woźniak i Czesław Kiszcak zastępcami członków Biura Politycznego KC

WARSZAWA (PAP). 25 bm., na krótko przed północą, zakończyło się po dwóch dniach intensywnej pracy VII plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — pierwsze po wprowadzeniu stanu wojennego. Posta-

nowiono poddać pod ogólnopartyjną debatę projekt deklaracji ideowej PZPR pt. „O co walczymy, dokąd zmierzamy”, nawiązującej nazwą do historycznego dokumentu PPR, z której nasza partia wyrosła.

Obradom przewodniczył I sekretarz KC

Wojciech Jaruzelski. W czwartek kontynuowana była dyskusja nad wygłoszonym 24 bm. przez niego referatem Biura Politycznego o zadaniach PZPR w walce o jedność partii, o umocnienie władzy ludowej, o pełną społeczną akceptację socjalizmu.

W toku obrad wniesiono i Wniosków członek Biura również — w trybie wyjaśnień, Politycznego, sekretarz KC uzupełnień i replik — uwagi Kazimierz Barcikowski przed- dotyczące różnych kwestii po- stawil projekt uchwały VII Plenum Komitetu Centralne- num, bądź związanych z pod- go. Po wniesieniu poprawek jęta przez nie problematyka, i uściśleń dokument ten zo- W imieniu Komisji Uchwał stał przyjęty jednogłośnie.

W części obrad poświęconej sprawom organizacyjnym Ka- zimierz Barcikowski przedlo- żył propozycję odwołania ze składu Komitetu Centralnego trzech jego członków: Zyg- munta Bobrowskiego, który złożył rezygnację oraz Maria-

na Arendta i Jana Malanow- skiego. Wniosek ten został przegłosowany i zaakceptowa- ny przez Komitet Centralny.

W dalszym ciągu VII Ple- num, I sekretarz KC Wojciech Jaruzelski z upoważnienia Biura Politycznego zwrócił się

do Komitetu Centralnego z prośbą o zaaprobowanie kan- dydatur: sekretarza KC Ma- riana Woźniaka i ministra spraw wewnętrznych, gen. dyw. Czesława Kiszcaka — na zastępców członków Bju- ra Politycznego oraz z zapy-

taniem — czy nie ma dodatko- wych kandydatur. Innych pro- pozycji nie zgłoszono.

Po powołaniu komisji skru- tacyjnej, przystąpiono do taj- nego głosowania. W jego wy-

Dziś i jutro obraduje Sejm PRL

WARSZAWA (PAP). 26 bm. o godz. 11.00 rozpoczyna się dwudniowe posiedzenie Sejmu. Złożone będzie sprawo- zdanie komisji mandatowo-regulaminowej w sprawie ob- sadzenia mandatów poselskich. Wakuje ich 11; przewi- duje się, że Sejm dokona obecnie obsadzenia 8 manda- tów.

Poselska debata w pierwszym dniu posiedzenia skon- centrować się będzie wokół projektów ustaw związanych z re- formą gospodarczą. Rząd wniósł ich osiem: o planowaniu społeczeństwa, o cenach, o gospodarce finanso- wej przedsiębiorstw państwowych, o opodatkowaniu jed- nostek gospodarki społecznej, prawo bankowe, o nada- niu statutu NBP, o statystyce państwowej, o uprawnie- niach do prowadzenia handlu zagranicznego. W sprawo- zdaniu 3 komisji sejmowych, które rozpatrzyły te pro- jekty, przedstawi się propozycję uchwalenia ustaw dzie- więciu — z jednej z nich bowiem (tej o cenach) wyodrę- biono projekt ustawy o utworzeniu urzędu ministra d/s cen. Komisja wniosła też projekt uchwały Sejmu w spra- wie określenia wykazu towarów i usług, na które ustali- cie ceny urzędowe.

Sprawozdawcą z ramienia komisji będzie pos. Zbigniew Gertych. Do dyskusji zapisało się — do godzin wieczor- nych we czwartek — 17 posłów, w tym przedstawiciele klubów i kół poselskich.

Projekt ustawy o radach narodowych

WARSZAWA (PAP). 25 bm. na posiedzeniu sejmowej Komisji Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska zastępca przewodniczącego Rady Państwa Kazimierz Secomski zapoznał posłów z dotychczasowym przebiegiem prac nad projektem nowej ustawy o radach narodowych, propozycjami nowych rozwiązań w tej dzie- dzinie, a także sprawami, które w świetle dotychczo- sowych dyskusji, nad kolejnymi wersjami projektu są na- daj sporne. Spotkanie to nosiło charakter konsultacyjny. Właściwa dyskusja rozpocznie się w Sejmie, gdy projekt skierowany będzie przez Radę Państwa do laski mar- szalkowskiej. Posłowie, którzy zabrali głos na czwarto- wym posiedzeniu, wyrazili swe opinie co do niektórych problemów związanych z działalnością władz terenowych i proponowanymi kierunkami rozwiązań ustawowych w tej dziedzinie. Najnowszą (czwartą) wersję projektu usta- wy — a ma być on gotów niebawem — jego autorzy przedstawia w całości posłom. W wersji tej, uwzględnia- jącej wyniki dotychczasowych dyskusji, niektóre proble- my będą zapewne ujęte wariantowo.

Reakcje amerykańskie na propozycję rozbrojenia Leonida Breżniewa

WASZYNGTON (PAP). Cała czwartkowa prasa ame- rykańska w obszernych doniesieniach relacjonuje nowe propozycje rozbrojenia Leonida Breżniewa zawarte w odpowiedzi radzieckiej przywódcy na pytania skiero- wane do niego przez działaczy ruchu pokoju z Aus- tralii.

Komentatorzy prasy amerykańskiej podkreślają, że wypowiedź Breżniewa utrzymywana jest w rzeczowym, spokojnym tonie, zdecydowanie odlegającym od tonu, jakim posługują się obecnie przedstawiciele adminis- tracji Reagana.

Komentatorzy prasy amerykańskiej dostrzegają szereg nowych elementów w propozycjach Breżniewa, a za szczególnie ważną uważają gotowość — do podjęcia na- tychmiast rokowań na wszelkie możliwe tematy rozbro- jeniowe.

Delegacja pianistów radzieckich w Polsce

WARSZAWA (PAP). 25 bm. odbyło się w Komitecie Centralnym PZPR spotkanie sekretarza KC Mariana Woźniaka z przybywającym w Polsce Władimirem Łachtinem — zastępcą przewodniczącego Państwowego Ko- mitetu Planowania ZSRR.

Przedmiotem spotkania było omówienie rezultatów po- bytu w Polsce delegacji radzieckiej, która pod przewo- dnictwem W. Łachtina przebywała w naszym kraju od 22 bm.

Goście radzieccy zajmowali się wspólnie z naszymi specjalistami możliwościami rozszerzenia wzajemnie ko- rzystnej współpracy gospodarczej, która szczególnie dzia- la na ogromne znaczenie dla Polski, w sytuacji nasi- lających się retorsji gospodarczych wobec naszego kraju ze strony państw zachodnich.

W spotkaniu uczestniczyli: Stanisław Gebala — kie- rownik Wydziału Ekonomicznego KC PZPR oraz Stani- sław Długosz — zastępca przewodniczącego Komisji Pla- nowania przy Radzie Ministrów. Obecny był Anatoli Barkowski — radca ambasady ZSRR w Warszawie.

Władze austriackie szukają 10 tys. Polaków

WIEN (PAP). Agencja „France Presse” pisze, że władze austriackie podjęły w całym kraju szeroką kam- panie, której celem jest zarejestrowanie obywateli pol- skich przebywających nielegalnie w Austrii. Uważa się, że takich Polaków jest około 10 tys.

Jak pisze AFP, władze austriackie przystąpiły do kol- portowania ulotek, wzywających Polaków, by zgłaszali się do władz i poddawali rejestracji.



RPN. W Dortmundzie jest największe bezrobocie w kraju. Na zdjęciu kolejka w miejscowym urzędzie zatrudnienia.

Za granicą o Polsce

Z niesłabnącym zaintereso- waniem prasa, radio i telewi- zja całego świata śledzi prze- bieg VII Plenum KC PZPR. Powszechnie uważa się, że plenum to jest doniosłym wy- darzeniem w życiu politycz- nym naszego kraju.

Wszystkie agencje prasowe obszernie omówiły referat Biura Politycznego wygłoszo- ny na plenum przez generała Wojciecha Jaruzelskiego. A- gencje przytoczyły wiele fra- gmentów tego wystąpienia, a w materiałach komentarzo- wych zreferowały podstawowe elementy referatu. Agencja France Presse podkreśla, że

gen. W. Jaruzelski jest zwol- nieniem silnego ruchu zwia- zkowego. Amerykańska agen- cja AP przytacza opinie ob- serwatorów politycznych, w- dług których VII Plenum skon- centrowało się m. in. na „po- szukaniu jedności po wielu miesiącach urałów i wstrzą- sów społecznych, jakie po-

przedziły wprowadzenie stanu wojennego”. „Prawda”, „So- wietkaja Rossija”, „Trud”, „Sielskaja Ziemia” i „Moskow- skaja Prawda” zamieściły w czwartek informacje o rozpo- częciu obrad VII Plenum KC PZPR. Agencja TASS nadała obszernie streszczenie wystą- pienia Wojciecha Jaruzelskie- go. Agencja zwróciła szczegól- ną uwagę na fragmenty po- święcone ocenie sytuacji mi-ędzynarodowej, antypolskim planom niektórych państw za- chodnich, ocenie sytuacji w kraju oraz roli i zadaniom stojącym przed partią.

Centralne dzienniki NRD na czołowych miejscach przy- niosły w czwartek informacje o obradach VII Plenum. „Neues Deutschland” i „Ber- liner Zeitung”, eksponując to wydarzenie w tytułach infor- macji, podkreślały, że referat I sekretarza KC PZPR po-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

W Belwederze

Delegacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża

WARSZAWA (PAP). Zastęp- ca przewodniczącego Rady Państwa Zdzisław Tomal przy- jął w Belwederze szefa dele- gacji Międzynarodowego Ko- mitetu Czerwonego Krzyża w Polsce Franka Schmidta oraz prezesa Szwedzkiego Czerwo- nego Krzyża, delegata Ligi Stowarzyszeń Czerwonego Krzyża i Polskiej w Pol- sce — Bjorna Wallberga.

Rozmowa dotyczyła pomocy udzielanej ludności polskiej przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża oraz stowarzyszenia narodowe sku- pione w Lidze, za pośrednict- wem Polskiego Czerwonego Krzyża. Pomoc ta obejmuje m. in. leki, żywność, odzież, środki higieniczne i ochrony zdrowia, które przez PCK przekazywane są najbardziej potrzebującym. Zakres tej po- mocy określony został w 13 wspólnie opracowanych pro- gramach.

Goście podzielili się swymi uwagami i obserwacjami z wielotygodniowego pobytu w Polsce oraz wyrazili uznanie dla pełnej poświęcenia dzia- łalności aktyw PCK związa- nej z podziałem darów i do- starczeniem ich adresatom. Zapewnili, że pomoc będzie kontynuowana. Podziękowali władzom polskim za ułatwie- nia służące powodzeniu ich misji.

Arceybiskup Canterbury proponuje chrześcijański szczyt pokoju

GENEWA (PAP). Arceyb- iskup Canterbury dr Robert Runcie przywódcą duchowy 70-milionowej rzeszy wyzna- wców Kościoła Anglikańskie- go, opowiedział się za spotka- niem najwyższych zwierz- chników obrządków chrześ- cijskich z całego świata poświęconym sprawie pokoju. Konceptę takiego spotkania zamierza on przedyskutować z papieżem Janem Pawłem II podczas jego zapowiedzianej na maj br. wizyty w Wielkiej Brytanii.



Hiszpania. Port w La Corunie — miejsce, które od niedawna jest szczególnie blisko polskim kibicom piłkarskim: tam nasza reprezentacja rozegra dwa mecze w eliminacyjnej grupie I podczas mistrzostw świata.

Dziś w MAGAZYNIE:

● Raport o dolegliwościach i perspekty- wach na przyszłość służby zdrowia przygo- tował STEFAN CIEPLEY. Czytamy w nim:

„W zdrowiu, jak w zwiastach odbijają- się wszystkie choroby, kiedyś Polski po- wiatoowej, później Polski reortowej, i nie może być inaczej. Rzecz natomiast w tym, by naprawiając Rzeczpospolitą i tu dokonać rozpoznania z odpowiednim dystansem”.

A więc to zrobić aby szpitalowi opłacało- się leczyć dobrze, szybko i skutecznie, a po- tencjalnemu pacjentowi przestało opłacać — chorowanie?

Co zrobić aby „poziom usług medycznych” mógł nareszcie satysfakcjonować społeczeń- stwo?

Raport Stefana Ciepłego stawia takich py- tań więcej. Czytajcie na str. 2.

● PROFESOR KRAWCZUK inauguruje (na str. 5) cykl poświęcony Komentarzowi Ra- kowieckiemu, będący próbą przewodnika po tym cennym zabytku, miejscu spoczynku ty-

sięcy wybitnych Polaków. Przypomnijmy — że w lipcu 1981 roku powstał — niemający w tym udział „Gazeta” — Obywatelski Komitet Ratowania Krakowa, grupujący przedsta- wicieli wszystkich środowisk naukowych Krakowa, dziennikarzy oraz miłośników przeszłości i zabytków naszego miasta. Na czele Komisji ds. Ratowania Cmentarzy Kra- kowa i Ziemi Krakowskiej stoi prof. Alek- sander Krawczuk.

● Kolejny fragment książki historyka HENRYKA BĄDOWSKIEGO: „Z dziejów polskiej dyplomacji na obczyźnie 1939—1941”. Odcinek ten traktuje o niedożyciu konfede- racji z Czechosłowacją, spotkaniu prezydenta Beneša i generała Sikorskiego.

W magazynie znajdziecie też:

● recenzję „Barwy” Szekspira wystawionej w „Bagateli” przez Włodzimierza Nurkows- kiego.

● rzecz o „15-leciu hałasowania w pięk- nym Krakowie”... Marka Gruchoty (str. 6)

Powstaje Państwowa Agencja Atomistyki

Energetyka, onkologia, geologia, ochrona środowiska — dziedziny, które wykorzystują badania krakowskich atomistów

Po spożyciu alkoholu niewiadomego pochodzenia

Śmiertelne zatrucie w Piotrkowicach

Następnie we wsi raczyli się jeszcze alkoholem przyniesio- nym przez dwóch młodych mężczyzn. W godzinach wie- czornych jeden z uczestników leśnej libacji, 49-letni Wła- dysław Sz. zmarł przed przy- jazdem Pogotowia Ratunko- wego. Trzej następní 76-letni Władysław Ch., 48-letni Ka- zimierz Z. i Kazimierz Ł. lat 46 przewiezieni zostali w sta- nie bardzo ciężkim do Kliniki Ostreych Zatrucí Akademii Me- dycznej w Krakowie. Stan ich jest bardzo ciężki. Śledztwo w tej sprawie trwa.

(wisz)

26 bm. Sejm PRL rozpatrzy projekt ustawy o utworzeniu Państwowej Agencji Atomis- tyki. Powołanie takiej orga- nizacji postulowane było od dawna również przez atomi- stów krakowskich. W skład PAA wejdą: Instytut Fizyki Jadrowej, Zjednoczone Za- kłady Urzędów Jadrowych „Polon”, zaś współpracować z nimi będą również Między- resortowy Instytut Fizyki i Techniki Jadrowej AGH oraz atomiści z Instytutu Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych krakowskich placów- cek naukowych.

Czego krakowscy atomiści oczekują od PAA? Połączenie w jednej organizacji wszyst- kich polskich placówek ato- mistyki i nadanie tej organi- zacji odpowiednich upraw-nień zapewni efektywną kontrolę zagadnień bezpie- czeństwa jądrowego, nabiera- jących coraz większej wagi w związku z decyzją o budowie w Polsce pierwszej elektro- wni jądrowej oraz upowsze- chnianiu techniki jądrowej

w różnych dziedzinach gos- podarki narodowej. Ułatwi to również koordynację, a więc także zwiększenie efektyw- ności badań naukowych i wd- rożeń oraz produkcji urządzeń w tej dziedzinie. Istnienie PAA ułatwi zwiększenie skutecz- ności prac poprzez pełniejsze wykorzystywanie współpracy międzynarodowej w atomis- tyce, m. in. w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej oraz Zjednoczonym Instytucie Badań Jadrowych w Dubnie.

Krakowscy atomiści pracu- ją nad dostosowaniem planów swoich badań do aktualnych potrzeb nauki i gospodarki. W trudnych warunkach bieżą- cego roku prace koncentro- wać się będą z jednej strony na utrzymaniu dotychczas- wych pozycji w światowym froncie badań fizyki jądrowej, gdzie Kraków odgrywa od dawna ważną rolę, a z drugiej strony, na pełnym wykorzy- staniu wyników badań nauko- wych w rozwiązywaniu pro- blemów gospodarki narodowej. Atomisci krakowscy zwiększą

swój udział w rządowym pro- gramie energetyki i w pracach związanych z technologicz- nymi zastosowaniami jądrowych reaktorów wysokotemperatu- rowych.

Trwają, prowadzone wspólnie z krakowskimi onkologami, prace nad rozszerzeniem prowadzonej w Krakowie już od trzech lat neutronowej te- rapii nowotworów złośliwych. Finalizowana jest budowa skomplikowanego, dużego o- rządzenia — cyklotronu AIC-144, który umożliwi m. in. rozszerzenie zakresu tera- pii neutronowej oraz produk- cję specjalnych radioizotopów dla medycyny. Warto podkre- ślić, że budowa realizowana jest przez IFJ w Krakowie — w kooperacji z kilkoma dużymi zakładami przemysłowymi — w całości w oparciu o pol- skie materiały i własną myśl techniczną.

W ramach prac dotyczą- cych dozimetrii termolumi- nescencyjnej, produkowane będą dla systemów zabezpieczania elektronów jądrowych we

wszystkich krajach RWPG do- zymetry i specjalne czynniki dawek promieniowania. War- to dodać, że licencja na opra- cowania w IFJ technologii produkcji dozymetrów tego typu sprzedana została ostat- nio do Szwecji. W oparciu o rozwinięte metody dozimetrii krakowscy atomiści organizują badania w zakresie ochrony przed promieniowaniem, m. in. nad wzrostem naturalnej pro- mieniotwórczości w związku z zanieczyszczeniem atmosfery i stosowaniem niektórych no- wych materiałów w budowni- ctwie. Trwają prace nad usta- leniem odpowiednich norm i zapewnieniem ich przestrze- gania.

Rozwijane będą nadal bada- nia nad metodami jądrowymi w geologii i hydrologii, zwią- zane m. in. z doskonaleniem metod poszukiwania złóż su- rowców energetycznych. Kon- tinuowane będą także prace nad konstrukcją i budową ni- klnalnej aparatury badawczej na potrzeby krajowe i na eksport.

Jest tak dobrze, to czemu jest tak źle? — bo co do tego, że jest źle, nie ma wątpliwości. Zarówno opinia społeczna narzeka, jak i resort daleki jest od samozadowolenia (o czym będzie jeszcze dalej mowa w szkicowym zarysowaniu zębów reformy przygotowywanej przez Ministerstwo na lata 1982—1985).

Można by naturalnie pójść żartem zaryzykować, że społeczeństwo narzeka na wszystko lub w tym samym tonie powtórzyć za lekarzem wojewódzkim dr ZDZISŁAWEM WOJCIKIEM opinię, że siła armii nie zależy od liczby żołnierzy. Sady te, jakkolwiek nie pozbawione pewnych racji, byłyby jednak zbyciem tematu, z którym statystyczny mieszkaniec np. województwa miejskiego krakowskiego styka się „na własnej skórze” jedenaście razy w roku. Tyle bowiem porad, wizyt, przyjęć w szpitalach i przychodniach itp. — pomnożonych przez liczbę mieszkańców województwa — udziela krakowska służba zdrowia rocznie, przy średniej krajowej — 5.

Niestety zachorowalność w aglomeracji krakowskiej jest wysoka i przewyższa znacznie średnią krajową. Dla przykładu, żeby nie być gołosłownym, posłużę się danymi wynikającymi z analizy absencji chorobowej na 100 zatrudnionych:

- choroby układu krążenia
- choroby układu oddechowego
- choroby układu narządów ruchu
- choroby nowotworowe (1977 r.)
- choroby zawodowe
- gruźlica
- choroby układu nerwowego

KRAKÓW POLSKA

251 dni	179 dni
388 dni	303 dni
189 dni	159 dni
258 dni	159 dni
92 dni	184 dni
66,14 dni	63 dni
223,7 dni	57,8 dni
	188 dni

Nie jest jednak moim zamiarem analiza przyczyn zachorowalności w Krakowie, czy woj. nowosądeckim, gdzie nieoczekiwanie stopień zdrowotności mieszkańców jest stosunkowo niski wbrew, zdawałoby się, prerogatywom klimatycznym. Stwierdzam natomiast, że pod względem liczby lekarzy kraj nasz należy do uprzywilejowanych i jeśli nawet baza lecznictwa samknie- tego jest niedoinwestowana, jeśli brak nam szpitali, klinik czy sanatoriów — to trudno nie dostrzec, że lecznictwo zamknięte obejmuje opiekę zaledwie 10 do 20 procent chorych, pozostali natomiast kontaktują się wyłącznie z lecznictwem otwartym.

W tej sytuacji wniosek wydaje się oczywisty: opinia społeczna się nie myli, a błąd tkwi w strukturach organizacyjnych służby zdrowia, w mechanizmach motywacyjnych, w ukształtowanym przez lata sposobie myślenia, a co za tym idzie inwestowania i kierowania nakładów.

Program resortu

Trwająca od lat dyskusja w środowisku lekarskim unaocznia resortowi, gdzie tkwi największa słabość. Leży przede mną oficjalny dokument Ministerstwa Zdrowia z grudnia 1981 pt. „Kierunki usprawniania podstawowej opieki zdrowotnej w miejscu zamieszkania (podkr. w.) w latach 1982—1985”. W dokumencie tym już na wstępie pisze się:

„W minionym 35-leciu uzmogło się zapotrzebowanie na opiekę podstawową, zwiększył się zakres zadań i obowiązków pracowników medycznych podstawowej opieki zdrowotnej. Za tymi trendami nie nadążało powiększenie potencjału, skuteczności i poziomu działania tej formacji służby zdrowia. W wyniku tych zjawisk wytworzył się mechanizm powodujący wyprężenie podstawowej opieki zdrowotnej w wypełnianiu jej zadań przez pomoc doradczą, poradniczą i specjalistyczną, oddziały szpitalne. Ranga lecznictwa podstawowego obniżata się zarówno w opinii społeczeństwa jak i samej służby zdrowia. Ten stan nie zachęcał do podejmowania pracy i stabilizacji w lecznictwie podstawowym szczególnie przez lekarzy i wpłynął na to, iż praca w podstawowej opiece zdrowotnej traktowana była jako praca przejściowa i gorsza. Takie stanowisko znajdowało uzasadnienie również w tym, że daleko idący rozwój specjalizacji i infrastruktury dla pionów specjalistycznych umożliwiał zatrudnianie się lekarzy poza podstawową opieką zdrowotną. Podkreślić należy, że prace nie odgrzywały istotnego czynnika motywującego pracę w podstawowej opiece zdrowotnej, a ranga lekarza specjalisty zarówno w odczuciu społecznym, jak i służby zdrowia była znacznie wyższa niż ranga lekarza rejonowego. Powstało w ten sposób błędne koło przyczyn i skutków słabości podstawowej opieki zdrowotnej negatywnie odczuwalnych przez społeczeństwo i służbę zdrowia”.

Diagnoza resortu wydaje się słuszną, ale tylko częściową. Dokument (nie bardzo wiadomo, czy mający charakter projektu, czy wytycznych) kładzie zasadniczy nacisk na podniesienie rangi lecznictwa otwartego, a zwłaszcza na takie przedsięwzięcia, w którym tzw. lekarz POZ (podstawowej opieki zdrowotnej) związał się ze środowiskiem zamieszkania pacjentów, uzyska system zachęt materialnych skłaniających go do lepszej pracy, zostanie objęty odpowiednim procesem dokształcania i podnoszenia kwalifikacji, wreszcie uzyska satysfakcję zawodową poprzez szansę „prowadzenia” pacjenta od diagnozy, po wyleczenie go.

Czy będziemy mieli lekarza domowego?

Wielkość tych założeń została w dokumencie resortu szczegółowo rozwinęta. Dążyć się będzie zatem do stworzenia rejonów objętych opieką poszczególnych lekarzy, przy czym pacjentom pozostawia się prawo wyboru lekarza, ale dokonywanego — powiedzmy — raz na rok. Miejsce zamieszkania nie musi się wiązać z wyborem lekarza. Dalej, usprawnia się system zgłoszeń po poradzie i na wizyty domowe, dopuszczając formy telefoniczne czy pismienne zapotrzebowania złożonego w przychodni. Obiecuje się też w przychodniach wyznaczanie godzin przyjęć, by zlikwidować kolejki. System uderza też w sedno, dążąc do zainteresowania materialnego lekarza objęciem opieką jak największej ilości chorych.

Wynika to z faktu, że pensja lekarza byłaby dwuczęściowa i obok minimum bytowego zawierałaby procent wynikający z liczby podopiecznych, dobrowolnie zarejestrowanych u lekarza. Czy pacjent miałby płacić za usługę, a potem otrzymywać refundację rachunku w zakładzie pracy lub w ZUS-ie, czy też raz na rok obywatel dokonywałby wpłaty, może nie w pełni refundowanej, decydując się na tego lub innego lekarza, czy też może zróżnicowania plac dokonywałby pracodawca lekarza, na podstawie liczby zgłoszeń — to jest temat najnamniejniej dyskutowany w środowisku lekarskim. Jaki by jednak schemat nie został przyjęty jedno jest pewne: wreszcie idzie się w kierunku systemu motywacyjnego, w którym lekarz zbyszywać pacjenta, działający sprawnie w ramach dzisiejszej „konwencji pingpongowej” — zostanie skazany na plaćbę. Wreszcie też pojawia się nie tylko moralne uzasadnienie dobrej pracy, ale także rywalizacja o wyższy poziom usługi, zachęta do podnoszenia kwalifikacji, bodziec do uprzejmości itp. Co za się toczy zarzutów, iż niektórzy lekarze pozyskiwaliby pacjentów zbytnim „liberalizmem” przy wydawaniu zwolnień, to odpowiedź jest prosta: jeśli przestanie się opłacać chorować... Niestety, projekt resortu, którego najsłabszą stroną jest częstokroć reformy, zbywa tę kwestię milczeniem.

Niemniej nowy system w sposób naturalny podniósłby rangę lecznictwa otwartego, ściągając doń lekarzy z przemysłowej służby zdrowia, ze szpitali i klinik, których dziś jest tam nadmiar.

Nie chcę wnikać w dalsze szczegóły projektu — pewnie zresztą temat wracać będzie jeszcze na łamy prasy — natomiast pisząc na wstępie jego omówienia, iż „diagnoza” resortu wydaje się słuszną tylko częściowo” mam na myśli fakt, że nie można wyliczyć do pełnej sprawności prawej ręki, nawet jeśli stosuje się najlepsze leki, jeśli cały organizm zdradza objawy chorobowe. Wiem, że bywają przypadki, kiedy zespu- ty zab wywołuje zapalenie stawów, ale nie wydaje się byśmy mieli z takim właśnie przypadkiem do czynienia. Dlatego trzeba krytycznej analizie poddać całość struktury organizacyjnej służby zdrowia, nie tylko lecznictwo otwarte, i z niej wywnioskować dopiero kierunek koniecznej terapii.

Czym mierzyć poziom lecznictwa?

Zacznijmy od kryteriów efektywności leczenia, stosowanych u nas, zapisanych w statystykach GUS-u i oficjalnych przemówieniach, a nawet programach.

Miejsce wiodące pełni tu liczba lekarzy na 10 tys. mieszkańców i liczba łóżek szpitalnych. Czasem dorzuca się jeszcze śmiertelność noworodków i średnia wieku umieralności. Hasłem nadrzędnym jest równocześnie bezpłatność świadczeń lekarskich, zgodna z pryncypiami socjalizmu.

Gdy jednak bliżej przyjrzymy się każdemu z tych czynników, to nadrzędną propagandową nad rzeczywistym poziomem lecznictwa wydaje się oczywista. Robotnikowi jest w końcu obojętne, czy płaci na zdrowie ze swej pensji w podatku, czy też uzyskuje refundację kwoty zapłaconej lekarzowi w zakładzie pracy — bo tak czy tak płaci. Natomiast najistotniejsze jest jego odczucie, czy leczony jest dobrze.

I tu kwestia się gmatwa. Bywa w niektórych krajach tak, że nawet medycyna poczynająca w rękach prywatnych sprawiła może wrażenie lepszej, niż społeczna. Mam oczywiście świadomość nastrojów społecznych i daleki jestem od myśli o jakiegokolwiek restrykcji medycyny. Myślę jednak, że nie może ona pozostawać w strukturach abstrakcyjnych i musi znaleźć w ramach dokonywującej się w kraju reformy gospodarczej, swój model ekonomiczny.

I tak jak w projekcie resortu lekarzowi podstawowej opieki społecznej zaczyna się opłacać pracować dobrze, tak szpitalowi musi się zacząć opłacać leczyć dobrze, szybko i skutecznie, a potencjalnemu pacjentowi musi się przestać opłacać — chorowanie. Dopiero wtedy model strukturalny będzie spójny.

Spojrzenie na statystykę * pozwala stwierdzić, że pod względem liczby lekarzy przypadających na 10 tys. mieszkańców, Polska ze swoim wskaźnikiem 7,7 znajduje się w czołówce światowej, wyprzedzając m. in. takie kraje jak Kanada — 17,1, Australia — 13,9, Japonia 12, Holandia — 16,6, Szwecja — 16,8, Wielka Brytania — 13,4, Francja — 15,3 niewiele ustępując równocześnie USA — 19,3, RFN — 18,8, NRD — 19. Jeszcze korzystniej rysuje się sytuacja Krakowa, w którym „wskaźnik

lekarzy na 10 tys. mieszkańców — cytuję za oficjalną analizą rozmieszczenia kadr w woj. krakowskim, dokonaną przez Wydział Zdrowia — uzyskany w 1979 roku (32,3 — dop. wł.) jest niemal równy wartości docelowej (32,5) ustalonej przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej dla woj. krakowskiego na rok 1990 (!), a wskaźniki w pozostałych grupach zawodowych są bardzo zbliżone do wartości docelowych np. lekarze dentyści — 7,1; jest 6,9 czy pielęgniarki — 61,2; jest 59,3”.

RAPORT

„KRAKOWSKIEJ”

o służbie zdrowia

Podobnie zatem jak w lecznictwie otwartym szpital powinien otrzymać od zakładu pracy opłatę za leczenie konkretnego robotnika, a ten dla odmiany — w miejsce poronionej idei rejonizacji — musi mieć szansę wyboru szpitala czy kliniki, która wzbudza jego zaufanie.

Jak uczynić, by zdrowemu pacjentowi przestało się opłacać chorować — wydaje się proste.

Inwestycje

Drugi wielki kompleks spraw wiąże się z potrzebą rewizji systemu inwestycyjnego i wypływającej stąd struktury terytorialnej lecznictwa zamkniętego.

Otóż klasycznym obciążeniem systemu inwestycyjnego jest myślenie, w ramach którego o poziomie lecznictwa w danym regionie, ma świadczyć liczba łóżek. Idea ta bardzo ściśle wiązała się z programami budowlanymi na kanwie tzw. Narodowego Funduszu Zdrowia. Ile łóżek wybudujemy, o tyle będzie lepiej.

Stąd niedaleko już myślenia mającego w każdym niemal województwie swój ucieleśniony kształt: budujemy do szpitala wojewódzkiego pawilon 200-łóżkowy i wskaźnik nam się poprawi.

Tylko niech ktoś wytłumaczy, jak mogą się poprawić warunki leczenia zarówno dla pacjentów jak i lekarzy dzięki pawilonowi dobudowanemu w Szpitalu im. Narutowicza w Krakowie, skoro wydolność bloków operacyjnych obliczona była na 450 pacjentów, a szpital ma ich przeszło tysiąc. Nie tylko reszta wydolności bloku operacyjnego, ale także kuchni, pralni itp. W Tarnowie do szpitala wojewódzkiego, pamiętającego czasy Powstania Listopadowego, zaszer- owano nawet dwa pawilony.

Przykład z Narutowiczem jest o tyle niesłuszny, że postawiony pawilon od początku nie miał służyć zwiększeniu liczby łóżek, lecz szanse rotacyjnego przemieszczania pacjentów, by móc przeprowadzać kapitalne remonty poszczególnych oddziałów. Ale ta korekta, dokonana słusznie przez kierownictwo szpitala, sporadycznie tylko miała miejsce w kraju, a idea pomnażania łóżek przez dobudowywanie pawilonów rozpełniała się po całej Polsce.

Ale pawilony to margines. Chybnia wydaje się w jeszcze większym stopniu metodologia i struktura terytorialna inwestowania. Trzymając się wciąż wskaźnika liczby łóżek potrzebnych w każdym regionie, uformowano pojęcie „szpitala typowy”, a więc kiedyś dla powiatu 272 lub 450 łóżek, a później dla województwa — 650 łóżek. Każdy powiat i każde województwo, na miarę ambicji władz lokalnych lub z nadania wynikającego z wizyty odpowiedniej rangi władzy, starało się wciągnąć do planu, otrzymując nie tyle „dar”, co przywilej położenia kamienia węgielnego w stosownej kolejności. I powiatów mało było, województw też nie brakowało — więc uzasadnienie inwestycyjne wciąż pozostaje aktualne. W woj. tarnobreskim np. stanęły aż trzy „typowe wojewódzkie” w promieniu 50 km. Krakowskie dla odmiany uformowało w dawnym podziale administracyjnym pojęcie pierścienia, „typowych powiatowych”, które miały oddziaływać stolicę regionu. Gdy „odpadły” Limanowa, Miechów, Brzesko, Zakopane — Kraków ostał się „gół”.

Błąd w pojęciu „typowy” wiąże się jednak podstawowo z zupełnie inną kwestią. Otóż i rozwój nauk medycznych i poziom wykształcenia, i nasycenie kadrą o wysokich kwalifikacjach, i ukształtowanie się zachorowalności na różne choroby — JEST, BYŁO, I POZOSTANIE RÓŻNE, W POSZCZEGÓLNYCH REGIONACH.

Proszowicom, Limanowej czy Bochni potrzebny jest szpital — żeby użyć modnej teraz terminologii — frontowy, a więc niewielki, spełniający podstawowe usługi w wypadkach, nagłych zastąpieniach itp. Proszowice, Bochnia czy Limanowa będą wiecznie borykać się z niedostatkami mieszkań, brakiem ordynatorów, wysoko kwalifikowanej kadry i w rezultacie tylko sporadycznie, na zasadzie wyjątku potwierdzającego regułę, mogą osiągnąć wysoki poziom lecznictwa w jakiejś dyscyplinie.

Natomiast ten poziom gwarantują z wielu względów centra medyczne, gdzie można doprowadzić do odpowiedniej koncentracji drogiej aparatury, wysoko kwalifikowanych kadr; do których dągnie każdy lekarz obawiając się wtórnego analfabetyzmu zawodowego. Tak jest na całym świecie. Nawet w Związku Radzieckim, posiadającym największą liczbę lekarzy w świecie na 10 tys. mieszkańców (34,5) idea tworzenia profilowanych centrów medycznych jest powszechnie stosowana. Oglądając takie centrum w Nowosybirsku, specjalizujące się w kardiologii, w którym osiągnięto taki poziom hibernacji (zamrożenia), że bez zastępowania sztucznego serca czas operacji na otwartym sercu sięgał 20 minut (!), podczas gdy w świecie 4 minuty uważa się za szczyt osiągnięć. Pacjentów zwożono tu nawet z Moskwy.

Prosta logika nakazuje też odrzucić pojęcie typowy, bo jeśli np. w Krakowie zachorowalność na nowotwory jest bodaj druga w kraju, to tu potrzebujemy silnej placówki onkologicznej, a w Bochni, która „przoduje” w skali kraju, jeśli idzie o gruźlicę (?) powinniśmy rozbudować pulmonologię, jeśli chcemy być w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem.

A więc programowanie inwestycji winno się dostosowywać do wskaźników zachorowalności, a nie do abstrakcyjnego pojęcia „typowy”, mierzonego liczbą łóżek i mieszkańców. Musi się też iść w kierunku indywidualizowania szpitalnictwa z profilem docelowym, jeśli rzeczywiście chcemy leczyć nowocześnie i dobrze. Pawilony można budować, owszem, ale z myślą o przewlekłych chorobach lub funkcjach rotacyjnych. Można też stosować wskaźnik łóżkowy, ale w odniesieniu do liczby zachorowań na poszczególne choroby, a nie w stosunku do podziału administracyjnego kraju i liczby ludności. Wbrew utartym sądom, nie podzielałem też poglądu, iż typowy szpital rejonowy staje się takim centrum wpływającym na szansę podnoszenia kwalifikacji przez lekarzy lecznictwa otwartego. Owszem staje się, ale w daleko mniejszym stopniu niż szpital profilowany czy centra medyczne-dydaktyczne.

Gdzie są ci lekarze, skoro jest ich sporo? Uważny czytelnik nie mógł sobie nie postawić pytania: gdzie są ci lekarze, skoro jest ich sporo, a brak ich w lecznictwie otwartym czy w szpitalnej służbie zdrowia.

Ano są cztery główne trakty, którymi umykają z lecznictwa otwartego. Nie przesadzając kolejności trzeba tu wymienić przemysłową służbę zdrowia, szpitalnictwo, zakłady teoretyczno-dydaktyczne i tzw. resortową służbę zdrowia.

Niewiele więcej dobrego da się powiedzieć o tzw. przemysłowej służbie zdrowia, będącej — brutalnie rzecz ujmując — w przeważającej mierze miejscem chałtur lekarzy „na dwie godziny”. Skoncentrowany tu jest, a nie wykorzystywany dostatecznie, bardzo poważny majątek diagnostyczny, spora baza i olbrzymia liczba lekarzy. W maju 1981 JERZY PIEKARCZYK na łamach „GK” pisał: „Jeśli w lecznictwie otwartym Krakowa pracuje 520 lekarzy, a w przemysłowej służbie zdrowia aż 374, to doprowadziło to do sytuacji, że 130 lekarzy lecznictwa podstawowego obsługuje rejon liczący 250 tys. mieszkańców, a jednocześnie w tym samym rejonie 130 lekarzy „przemysłowi” obsługuje tylko 70 tysięcy pacjentów” („Na co choruje krakowska służba zdrowia” 19. V. 1981). Wiadomo oczywiście, jak trudno komuś zabraknąć. Wia-

domo, że nikt nie chce z niczego zrezygnować. Ale jeśli załoga nie liczy przynajmniej 5 tys. osób, to poza nadzorem sanitarnym, reszta jest niewytłumaczalnym, partykularnym luksusem, ubranym w demagogiczną frazeologię. Co z tym zrobić? Otworzyć dla lecznictwa podstawowego, włączyć w nie, dopuścić oficjalnie mieszkańców z pobliza zakładowych przychodni.

Trzecim miejscem „schronienia” lekarzy są szpitale, kliniki akademickie i instytuty specjalistyczne. Tak się już u nas ukształtowała sytuacja, że ranga lekarza szpitalnego jest wyższa niż lekarza w przychodni. To resort dobrze rozumie i — jak wynika z projektu — zamierza zweryfikować. A że szpitale, kliniki i instytuty są głównym, jeśli nie jedynym, miejscem uzskeiwnia specjalizacji, koniecznym wydaje się też zweryfikowanie systemu zatrudniania kadr w lecznictwie zamkniętym, ze stałej etatyzacji, na system kontraktowy, tak, by lekarz idący do lecznictwa otwartego mógł odbyć paroletnią praktykę specjalistyczną pod kierownictwem ordynatora. Dziś miejsca te są zablokowane, bo ordynator ma stałą kadrę, co uzasadnia potrzebę wychowania następców. Trudno tę potrzebę kwestionować, i jakąś liczbę, jakiś procent asystentów trzeba pozostawić stabilny. Natomiast dla większości lekarzy klinika musi stać się miejscem nauki i przyszłego stałego kontaktu,

Podsumowanie

Dokonując analizy kształtu organizacyjnego naszej służby zdrowia pominałem kwestię usytuowania w nim szkolnictwa akademickiego, a także zalety i wady ZOZ-u. Model strukturalny wydaje się tu bowiem niezły. Niedostatkami praktyki jest raczej, iż centra akademickie bywają ograniczone w swej wiodącej rolę do postępu nauki roli, w zadaniach koncentrowania i programowania zakupów aparatury, w funkcjach nadzoru merytorycznego nad całością szpitalnictwa. Marnotrawstwem jest też naturalnie fakt, iż szpital kliniczny AM w Krakowie spełnia dla ZOZ-u w Podgórzu funkcję szpitala komunalnego. Marnotrawstwem, bo posiada kadrę zdolną leczyć najtrudniejsze schorzenia w całym makroregionie.

Co się tyczy ZOZ-ów, to poza wielkimi aglomeracjami są modelem absolutnie udanym, co nie wyklucza korekt wnoszonych przez życie. W dużych miastach, niestety, rejonizacja i koncentracja wyznaczana obszarem terytorialnym dzielnic jest bezsensowna. Raczej trzeba szukać struktur pionowych. Inaczej bowiem robi się centrum kardiologiczne przy AM, przy Krak. Szp. Zespołowym, przy ZOZ Śródmieście, a każde chrome, czy to z braku kadry, czy aparatury. Inaczej bowiem urbanistycznie wykształtowane centrum onkologiczne wokół pl. Sikorskiego, nagle zajmuje ZOZ Śródmieście na neurologię. Inaczej bowiem robi się szpital na polegająca na tym, że ZOZ Podgórze ma większość domów opieki społecznej, a nie ma szpitala dzielnicowego — i w ogóle coraz wyraźniej widać, że struktura ZOZ-u istnienie miasta najwyraźniej szkodzi. No, ale tabakiera jest dla nosa.

Nie chciałbym, broń Boże, żeby ktoś z organizatorów służby zdrowia w Krakowie czy resorcie poczuł się tymi ocenami dotknięty. Pracują tu ludzie przeważnie dobrej woli, na miarę sił. W zdrowiu jednak, jak w zwierciadle odbijają się wszystkie schorzenia kiedyś Polski powiatowej, później Polski resortowej. I nie może być inaczej. Rzecz natomiast w tym, by naprawiając Rzeczpospolitą i tu dokonać rozpoznania z odpowiednim dystansem.

Błąd w rozpoznaniu, a co za tym przeważnie idzie w sferze medycznej — jak wiadomo bywa niewybaczalny.

* Aktualnie liczba lekarzy w Polsce na 10 tys. mieszkańców wynosi 18,9. Niestety, dla porównania musiałem się posłużyć ogólnodostępnym, ostatnim jakim się okazał Rocznikiem Statystycznym — 1979, który zawiera w części między-narodowej porównywalne dane za rok 1977.

ZA jeden z ważniejszych problemów polskiej polityki zagranicznej gen. Sikorski uważał sprawę stosunków z Czechosłowacją. Poświęcił tej sprawie wiele uwagi w czasie, gdy jako szef rządu polskiego na obczyźnie sprawował nadzór nad działalnością MSZ i gdy często sam podejmował w różnych kwestiach inicjatywę.

Nie ulega wątpliwości, że zainteresowanie to wypływało również z przekonania łączącego się z zawodem fachowca wojskowego wysokiej miary: z poglądem na położenie strategiczne Polski. Nawet zresztą laik musiał po spojrzeniu na mapę Europy przed r. 1938/39 stwierdzić, że oba państwa, Polska i Czechosłowacja, są naturalnymi sojusznikami wobec istnienia zagrożenia ze strony Niemiec. Sikorski sprawę tę rozumiał doskonale i dogłębnie ją zanalizował. Bolał też przed wojną nad złym stanem stosunków polsko-czechosłowackich, które się układały się z winy obu stron, ale przyczyna tego leżała w większej mierze po stronie polskiej, głównie wskutek antyczeskiego nastawienia Becka.

W latach trzydziestych Sikorski próbował, jeśli mógł, wpływać na polepszenie tych stosunków, m. in. utrzymując z miarodajnymi czynnikami w Czechosłowacji przyjazne kontakty. Od r. 1936 był w częstym kontakcie z nowym posłem czechosłowackim w Warszawie, Jurajem Slávikiem, Słowakiem z pochodzenia i szczerym polonofilem, a jak się zdaje, znał się także z jego poprzednikiem, Václavem Girsą, Czechem, którego stosunek do Polski był mniej pozytywny. Dzięki ogłoszonym niektórym raportom Slávika wiemy trochę o jego rozmowach z Sikorskim i tegoż poglądach tak na sytuację ogólną, jak na stosunki polsko-czechosłowackie. Co więcej, Sikorski sam jeździł do Pragi, a w r. 1937 został przyjęty przez jej ówczesnego prezydenta, Edvarda Beneša, z którym później miał tak bliskie współpracować w okresie II wojny światowej. Również bliska współpraca z Witosem, który wtedy żył na wygnaniu w Czechosłowacji, a z którym się tam nieraz Sikorski spotykał, umożliwiała generałowi wgląd w problematykę sąsiedniego państwa. Między innymi Sikorski zorientował się w polskim nastawieniu ówczesnego premiera (1935–38) Milana Hodży, także Słowaka rodem, z którym również miał się później zetknąć w Londynie.

Sądzić trzeba, że Sikorski, który tak zdecydowanie popierał kierunek polityki Becka, w szczególności zaś jej ostrze antyczeskie, zarazem był przeciwny wygrzymaniu przez polskie MSZ niezadowolona część Słowaków przeciw Pradze. Oczywiście, jednak musiał być zdania, że przed praskimi winien zadowolić słuszne żądania słowackie, ale bez osłabiania spójności państwa. Podczas wojny Sikorski nie aprobował poczyniań nie-

których swoich współpracowników, prowadzących osobno rozmowy ze Słowakami, za plecami oficjalnego kierownictwa czechosłowackiej akcji wyzwolenczej. O tym będzie jeszcze dalej mowa.

Opuszczając Polskę 17 września 1939 r., Sikorski na pewno miał w swych planach jako jeden z ważniejszych punktów: doprowadzenie na przyszłość do trwałego i konstruktywnego zbliżenia polsko-czechosłowackiego. Być może, również o tym rozmawiał z ambasadorem francuskim Noëllem, z którym odbywał podróże z Bukaresztu do Paryża; ów dyplomata francuski przed objęciem ambasad w Warszawie był posłem w Pradze i podczas pobytu w Polsce zabiegał o wyrównanie tarć polsko-czechosłowackich, szkodliwych dla Francji.

JAK się okazało, właśnie Noël postarał się w Paryżu o szybkie skontaktowanie Sikorskiego również z emigrantem (już od jesieni 1938 r.), byłym prezydentem Czechosłowacji, Benešem przybyłym do stolicy Francji z Londynu 6 października 1939 r., by tam pertraktować z czynnikami rządowymi na temat możliwości utworzenia emigracyjnego rządu czechosłowackiego.

Nie możemy ściśle oznaczyć dnia, w którym po raz pierwszy Sikorski spotkał się z Benešem. Stać się to musiało między 6 a 13 października 1939 r.: pierwsza data to dzień przyjazdu Beneša do Paryża, a druga dotyczy notatki mówiącej, że do spotkania doszło. Czytamy w niej, że Beneš złożył szefowi rządu polskiego wizytę i że wizyta została niezwłocznie oddana. Rozmowa miała dotyczyć wypadków związanych ze sprawą Zaolzia w r. 1938, przy czym Sikorski negatywnie określił postępowanie Becka. Nadto premier polski miał oświadczyć, że uważa byłego posła w Warszawie, J. Slávika, jako posła przy rządzie polskim we Francji.

Ale nie tylko z Benešem czynnik polski nawiązywał kontakt. W Paryżu bawili również przeciwnicy byłego prezydenta, dwaj Słowacy, Milan Hodža oraz Stefan Osuský, ten drugi nadal pełniący funkcję posła czechosłowackiego we Francji, gdyż rząd paryski pozwolił po 15 marca 1939 r. na dalsze funkcjonowanie poselstwa. Ci dwaj politycy byli również zwolennikami odbudowania państwa czechosłowackiego, ale w innej postaci niż planowana przez Beneša. Ten ostatni chciał nawrócić do stanu istniejącego przed jesienią 1938, tj. do centralistycznie przez Czechów rządzonej Czechosłowacji, podczas gdy Hodža i Osuský byli za Czechosłowacją, państwem, w którym oba narody, Czesi i Słowacy, miałyby ustawowo zagwarantowane jednakość praw (byłoby to rodzaj państwa dualistycznego). Dwaj ci politycy pragnęli w kościach polskich znaleźć poparcie dla swoich planów. Hodža szedł jeszcze dalej: myślał o szer-

szej federacji środkowoeuropejskiej, której równorzędni członkami byłyby Czechy, Słowacja i Austria. Hodža znał się dobrze z Witosem, gdyż jako jeden z byłych przywódców czechosłowackiej partii agrarnej udzielił uchodźczym z Polski byłym więźniom brzeskim schronienia. Jeden z głównych współpracowników Sikorskiego, ludowiec, Stanisław Kot, był zwolennikiem współpracy z Hodżą i Osuskim.

Możemy więc zrozumieć różne wzmianki we wspomnieniach ambasadora Raczynskiego, który notował, że w listopadzie najpierw rozmawiał z Hodżą, a potem z Benešem, gdy ci dwaj politycy przybyli do Londynu. Biuletyn informacyjny polskiego MSZ, z daty 28 listopada 1939 r., mówi o celach wojennych rządu RP, wymienia m. in.: „konieczność odbudowy Czech i Słowacji”, nie zaś „Czechosłowacji”, akcentując przez to równoległość a nie jednolitą politykę w stosunku do tych dwu narodów.

To nie mogło podobać się Benešowi i zapewne też współpracującemu z nim bliskiemu Slávikowi, który, choć Słowak z pochodzenia, popierał program czechosłowacki, nie zaś „czechosłowacki”.

Emigranci skupieni wokół Beneša, Czesi oraz Słowacy orientacji czechosłowackiej, utworzyli w Paryżu w listopadzie Czechosłowacki Komitet Narodowy (Československý Národní Výbor), gdy rząd francuski odmówił zgody na utworzenie rządu emigracyjnego. Komitet został zaraz uznany przez francuskie MSZ jako reprezentacja interesów czechosłowackich. W grudniu uznania udzielił rząd brytyjski.

Natomiast Hodža, przy współudziale Osuskiego, zorganizował Czechosłowacką Radę Narodową, która przeciwstawiała się swym dualistycznym programem działalności Komitetu Narodowego, stojącego na gruncie jednolitości państwowej i narodowej Czechów i Słowaków. Polskie czynniki urzędowe we Francji utrzymywały kontakt z Radą. Ale charakter oficjalny, uznawany przez sojuszników, miał tylko ów Komitet, który też patronował tworzącym się we Francji czechosłowackim oddziałom wojskowym, na podstawie umowy podpisananej między rządem francuskim a poselstwem czechosłowackim.

Komplikowała się sprawa uznania Komitetu przez rząd polski. Widząc niesnaski między Komitetem a Radą Narodową, czynniki polskie zachowywały rezerwę. Jakoby chcieli jako warunek uznania otrzymać od Komitetu zobowiązanie do ściślejszej współpracy z Polską, co Beneš odrzucał jako żądanie nadmierne. Toteż do formalnego uznania Komitetu ze strony polskiej nie doszło, jakkolwiek zarazem jego członkowie, poseł Slávik, został wciągnięty na listę korpusu dyplomatycznego akredytowanego przy rządzie polskim w Angers. Utrzymywał się kontakt osobi-

sty w Paryżu między Sikorskim a Osuskim oraz w Londynie między Raczynskim a Benešem, ale także Hodżą.

Uwagę zwrócił ogłoszony w 1940 r. wywiad z Sikorskim, „Petit Parisien” 31 stycznia 1940 r., który podkreślał potrzebę współpracy polsko-czechosłowackiej po wojnie.

Tak Sikorski, jak Beneš mieli jeden wspólny cel na przyszłość: wytworzenie związku państw w Europie środkowej, którego do bloku trzonem byłaby konfederacja Polski i Czechosłowacji. Nie mał od samego początku istniał między obu mężami stanu rozbieżność w tej sprawie, a to na tle odmiennego stosunku Polaków i Czechów do problemu radzieckiego: u Sikorskiego stosunek ten nacechowany był nieufnością, mimo zasadniczego uznawania potrzeby pewnej współpracy ze Związkiem Radzieckim, podczas gdy Beneš zastrzeżeń nie wysuwał, mimo pewnych obaw o charakterze ideologicznym. O ile według koncepcji Sikorskiego przyszły blok środkowoeuropejski miał zajmować jednakowo stanowisko wobec Niemiec i wobec ZSRR, o tyle według Beneša współpraca z mocarstwem radzieckim była niezbędna właśnie przeciw sąsiadowi zachodniemu. Było to podejście naturalnie bardziej realistyczne. Czechom przychodziło takie stanowisko łatwiej niż politykom polskim, wobec braku kwestii spornych między Czechosłowacją a ZSRR.

HENRYK BATOWSKI

NIE DO SZŁA KONFEDERACJA Z CZECHOSŁOWACJĄ



Kontakty personalne kontynuowano w Paryżu i Londynie aż do upadku Francji w czerwcu 1940 r., po czym Komitet Czechosłowacki przeniósł się tak samo jak rząd polski do Londynu. Ludowcy polscy nie porzucali odrębnych rozmów ze Słowakami, a polskie MSZ także przyjęło prosławkę punkt widzenia. Oto w tezach polskiej polityki zagranicznej, przyjętych 15 sierpnia 1940 r., czytamy w punkcie szóstym:

„W stosunku do Czech i Słowacji powinniśmy nadal utrzymywać postulat niepodległości tych krajów, jako jednego z głównych celów obecnej wojny (...). Należy w dalszym ciągu utrzymywać bliskie stosunki z grupą dra Hodży oraz popierać dążenia Słowaków do otrzymania od Czechów takich uprawnień, które zadowalają ich aspiracje narodowe”.

3

Beneš systematycznie zwalczał swoich konkurentów, Hodżę i Osuskiego; ten ostatni, utraciwszy swoje dotychczasowe oparcie w Quai d'Orsay, w Londynie już nie był znaczącą osobistością. Hodža miał swoje prywatne kłopoty, które osłabiały jego pozycję i zmusiły go w końcu do podporządkowania się Benešowi.

Przeniosłszy się na teren Anglii, kierownictwo czechosłowackiej akcji wyzwolenczej (które potrafiło również ewakuować z Francji część utwo-

rzonych tam oddziałów wojskowych), postanowiło wreszcie zrealizować cel zasadniczy, tj. wytworzyć rząd emigracyjny. Odpadały zastrzeżenia stawiane przedtem przez Francję, a w danej wtedy sytuacji Anglii widzieliśmy chętnie jeszcze jeden rząd sojusznicy na swym terenie. Beneš mógł liczyć na powodzenie swych planów; m. in. zamierzał znów przybrać tytuł prezydenta republiki, z którego musiał zrezygnować w październiku 1938 r. pod naciskiem Niemców.

Na początku lipca Beneš zwrócił się do Foreign Office o wyrażenie zgody na działalność rządu Czechosłowacji na terenie W. Brytanii. Anglicy trochę jednak zastanawiali się nad kwestiami formalnymi. O ile w Polsce nie było żadnej formy rządu i utworzony w Paryżu rząd polski na obczyźnie miał wszelkie cechy legalności, o tyle inaczej wyglądała sprawa czechosłowacka wobec istnienia w Pradze prezydenta i rządu czeskiego, co prawda pod ścisłą kontrolą Niemców. Beneš słusznie zwracał uwagę, że wszystko co stało się od 14 marca 1939 r., było wynikiem wymuszenia ze strony hitlerowskiej i nie mogło mieć podstawy prawnej. Ze strony polskiej doszło też do dyskretnych interwencji w Foreign Office, gdyż w polskim MSZ nie chcieli, wobec trwającego antagonizmu między grupami Beneša i Hodży, by ten pierwszy był wyłącznie znawcą reprezentantem sprawy czechosłowackiej. Mo-

że zresztą nie ta polska interwencja, której podjął się w imieniu Zaleskiego sekretarz generalny polskiego MSZ Cieschanowski, wpłynęła tu wyrażnie, lecz raczej formalistyczne stanowisko Anglików. Ponadto rząd brytyjski chciał także liczyć się ze stanowiskiem Węgier, występujących przeciw projektowi odbudowy Czechosłowacji.

Toteż w rezultacie decyzja brytyjska datowana 21 lipca 1940 r. przesłana Benešowi, wyrażająca zgodę na działalność prezydenta i rządu czechosłowackiego (Czechoslovak, nie Czechoslovak), podkreślała tymczasowy ich charakter: provisional government. Było to bardzo nie po myśli Beneša, który odtąd energicznie zabiegał o usunięcie przymiotnika „tymczasowy”.

Ministrem spraw zagranicznych w nowym rządzie premiera Sramka został Jan Masaryk, poprzednio wieloletni poseł Czechosłowacji w Londynie (zrzekł się tej funkcji na znak protestu przeciw zdradzie monarchijskiej), ściśle współ-

pracujący z Benešem, ale zaważający się z natury rzeczy konieczności zajęcia stanowiska wobec aktu z 21 lipca. Istotnie, w ramach cytowanego wyżej 6 punktu też polskiego MSZ z 15 sierpnia znalazły się także dwa takie zdania:

„Wobec uznania przez rząd brytyjski Komitetu dra Beneša jako prowizorycznego rządu czechosłowackiego winniśmy i my wyrazić zgodę na podobne uznanie, mające na względzie antyniemiecką politykę wojenną. (...) Z uznaniem prowizorycznego Rządu Czechosłowackiego przez Rząd Polski należy powiązać rozmowy wyjaśniające reszpot zagadnień dotyczących stosunków pomiędzy Polską a Czechami i Słowakami”.

(Na zdjęciu przy winiecie — prezydent Beneš i generał Sikorski.)

„Z C Z Y M D O N I E Ś M I E R T E L N O Ś C I”

Ostatni romantyk

27 lutego przypada 160. rocznica urodzin Teofila Lenartowicza. Autor popularnej „Kali” nie należał nigdy do twórców w pełni docenianych. Nie był tym szczęśliwcem, którego miejsce w życiu narodowym i w tradycji kulturalnej jest wyraźnie oznaczone. Dziełko drugiego pokolenia romantyków, a więc także jemu nie oszczędzonego przymiotnika „dekadencka” przy twórczości. Nad wiedzą o tym poecie górowało zawsze jednostronne wyobrażenie, stereotyp, w którego cieniu gniły jego prawdziwe rysy „Jirnika mazowieckiego”. Jego koncepcja poezji budziła wiele zastrzeżeń. Nawet serdeczny przyjaciel, Cyprian Kamil Norwid, aczkolwiek nie lekceważył wprawdzie jego poezji, to jednak sprzeciwiał się jej ograniczeniom ideowym i artystycznym widocznym zwłaszcza w zestawieniu z własną koncepcją sztuki.

Przyjaźń między poetami zawiązała się w okresie warszawskim, kiedy razem byli blisko cyganerii. Norwid mający oparcie w rodzinie, w owym czasie człowiek światowy, uchodził za elegancję, wytwornego panica. Natomiast Lenartowicz był zupełnym przeciwnieństwem — prawie sierota, urzędnicza sądowy, syn warszawskiego majstra murańskiego, człowiek bardzo skromny.

Norwid wyjeżdża za granicę pierwszy, Lenartowicz dołącza później. Spotykają się w Paryżu, w momencie, gdy ich twórczość jest już dojrzała. Nadal się przyjaźnią, ale już pojawiają się pierwsze spory, a przede wszystkim spór o charakter, sens i formę poezji. W sporze tym Norwid atakował „łatwy” optymizm Lenartowicza i „łatwość” prostych form jego ekspresji poetyckiej, a także intelektualizm przyjaciela. (Norwid jest autorem zdania: „Dant na fujarkę mokre” wierszowej). Zwracał się do Lenartowicza z pewnymi pouczeniami, przestrzegał przed poezją uspokajającą. Obawiał się też, że Lenartowicz nie wyłdzie poza jedną manierę twórczą, poety ludowego.

Lenartowicz — poeta natury, ludu i dziecka nie mógł przyjąć tych pouczeń.

Miał więc pretensję do Norwida, że uważa się za króla (wiersz „Do...”), że go poucza. Sam z kolei, będąc przeciwnikiem poezji egocentrycznej, przeciwstawiał się „hermetycznej” poezji Norwida, walczącej o prostotę i jasność, o powszechną czytelność i szuki słowa. Dla Lenartowicza poezja była wręcz apoteozą i nobilitacją prostoty.

Norwid widział wszystko w kontekście wielkich problemów kultury i dzieł człowieka w historii. Atom i kosmos — to granice świata poetyckiego Norwida. Pomiędzy nimi rozpościera się główna dziedzina jego poetyckiej uwagi: królestwo człowieka. Czy mógł więc właściwie oceniać świat poezji przyjaciela, w którym to świecie Lenartowicz zawarł kształt i ciepło Polski siemkowej, polnej i leśnej wraz z jej radościami, smutkami i mitami?

Twórczość Lenartowicza cechuje nie sentymentalizm, lecz duża wrażliwość uczuciowa, nie rozlewność lecz skupienie, powściągliwość, świadome unikanie zdobnictwa słownego i obrazowego. I na tym właśnie polega wartość wkładu Lenartowicza do literki polskiej XIX wieku.

Ludowe treści i formy, powściągliwość i prostota wyrazu stają się później przykładem dla Konopnickiej. Zeromski parokrotnie wspomina proste piękno „ukraińskich pereł” liryki Lenartowicza. Podziwiał jego poezję Pawlikowska-Jasnorzevska.

Mało kto wie, że Lenartowicz ożywił mit racławicki, mit kosynierów, jako siły ludowej, która uczestniczyć będzie w sprawie narodu. Poemat Lenartowicza „Bitwa pod Racławicami” stał się prawdopodobnie jedną z inspiracji Matejki, a później Styki i Kossaka. Z tradycji lenartowiczowskiej wywodzi się także dramat ludowy Ancezyca „Bitwa pod Racławicami”. Mit racławicki pojawia się też u Wyspiańskiego w „Weselu”.

Lenartowicz zmarł 3 lutego 1893 r. we Florencji i w tym samym roku pochowany został w Krakowie na Skałce.

ZDZISŁAWA OTAŁĘGA



Kołątaj dożył roku 1812 — roku wielkich polskich nadziei na wolność. Czy ta nadzieja poruszyła jego stare serce — wątpliwe, był już zmęczony... Właściwie zdążył się już rozwinąć plany pozyskania Bonaparte'go i oparcia na nim odbudowy Polski.

Duchowny, który miał na oku świecką i ziemską pomyślność społeczeństwa. Jemu zawdzięczamy termin „umowa społeczna”. W publicystyce swojej stawiał ideał takiej organizacji państwowej — która byłaby rezultatem umowy społecznej wszystkich stanów — mającej na celu dobro powszechne wszystkich obywateli. Radykalnie poglądy polityczne sprawiły, że nazywano go polskim jakobinem, a nawet Dantonem. Ale wbrew oskarżeniom swych wrogów był raczej zwolennikiem „rewolucji łagodnej”.

Niewątpliwie ożywił i wzbogacił życie społeczne swej epoki. W okresie Sejmu Czteroletniego należał Kołątaj do najczynniejszych działaczy (!) Stronnictwa Patriotycznego. Cała akcja propagandowa wokół reform społecznych i Konstytucji 3 Maja koncentrowała się w Kuźnicy Kołątajowskiej, którą należało rozumieć zarówno jako ośrodek radykalnych myśli jak i „biuro” kierowane właśnie przez ks. Hugona, po ogłoszeniu ustawy majowej — podkancelerz koronny.

Był to okres wyczerpującej walki politycznej, trwającej latami. Niektórzy znawcy tego okresu w literaturze (Krzyżanowski), twierdzą, że Kołątaj posuwał się czasem do demagogii, że nie do końca był uczciwy jako polityk. Takie zarzuty nie dosięgają tylko tych, co od spraw publicznych stronią. Ciękawo, że pisma polityczne Kołątaja rozpatrujące zasadnicze sprawy życia ówczesnej Polski, Polski na najostrożniejszym zakreśle politycznym i wielkim przełomie dziełowym ujmują szczególnie dziś czystością racjonalnych dowodów. Złożone problemy prawne, filozoficzne i moralne potrafił Kołątaj wyrazić lapidarnie, z żarliwością, która

nał robi wielkie wrażenie na czytelniku (Przemowa „DO PRZESWIETNEJ DEPUTACJI”, „PRAWO POLITYCZNE NARODU POLSKIEGO”, „O PRZYSZŁYM SEJMIE ANONIM”, „MA LISTÓW KILKA”, „DO STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO, REFERENDARZA KORONNEGO”).

W czasie Powstania Kościuszkowskiego należał Kołątaj do Rady Najwyższej Narodowej (pełnił funkcję ministra skarbu) reprezentując stanowisko najbardziej radykalne aniżeli w dobie Sejmu Czteroletniego. Po upadku powstania opuścił Warszawę, Aresztowano go, gdy przejeżdżał przez Galicję, osiem lat więzienia. Reszta życia spędził zajmując się pracą naukową i oświatową, co nie było odkryciem jakichś nowych skłonności, zwążywszy, że znacznie wcześniej aktywnie działał w Komisji Edukacji Narodowej (na nowoczesny sposób zorganizowane ministerstwo oświaty). Z jej to upoważnienia dokonał reformy Akademii Krakowskiej, nie bez przeszkód ze strony konserwatywnych profesorów, którym nie w smak było wzbogacenie programu naukami ścisłymi i przyrodniczymi.

Powiedziano o nim, że był jednym z pierwszych — jeżeli nie pierwszym w Polsce, który określił sens i wartość pojęcia „Człowiek”. Zawdzięczamy mu określenie polityczne, które z czasem weszło w powszechną świadomość.

20 maja 1771 roku wygłosił w Sejmie mowę, po objęciu urzędu podkancelerzgo. Deklarował w niej:

„Prawda! Jeżeli dzielne twoje światło tyle dokazać mogło na umysłach prawodawców, jeżeli naród poddał się już świętym twoim wyrokom, ty mi przewodniczyć będziesz w trudnej urzędowaniu mego powinności. Tobie od wczesnej młodości poświęcone życie ofiaruję do ostatecznego tchnienia mego; na twoją Boską świętość przysięgam: królowi i całemu narodowi, że cię na krok nie odstąpię, że ty będziesz postępowałem mego prawidłem (...) Na-

reszcie, jeżelibym żyć musiał w czasie takim, gdzie obłuda swymi postępkami chciałaby się okryć przed oczyma powszechności prześladowaniem osoby mojej, zniósł spokojnie prześladowanie, opuszczał wszystko i zostanę przy samej prawdzie”.

W styczniu roku 1810 napisał pełen gorczy list do Jana Śniadeckiego. Jest on rodzajem rachunku z życia. Skończył się te rocznicowe uwagi (28 lutego miało 170 lat jak umarł) jego fragmentem:

(...) Dni moje schylają się ku zachodowi i czemużbym ich nie miał dokonać? Z jednej ułamy wytrwałością? Ustawicze niezdolności tyle przyznajmniej cierpliwym doborzeństwem świadcząc, że im dłużej dokucza, tym mniej nareszcie czuć się dają. Ani można tak osobliwego w życiu moralnym skutku przypisywać samym prawdom nauki stoickiej; każdy to czuje, iż niezbędnej konieczności chętnie lub niechętnie poddać się musi. (...) Nie dlatego więc czuję wstręt do dalszego poświęcenia się pracom publicznym, żem doznał zapomnienia, niewdzięczności i prześladowania, nie dlatego, że teraz nawet doznaję trudności w odzyskaniu mego majątku; nie dlatego nareszcie, że bym się lekko obudził na nowo zażłość i potwarz; nie bym mi to nie ustraszilo od usług winnych Ojczyźnie; lecz że znajduję w rzeczach i osobach tak daleko zmienioną dawną postać, iż po trzydziestu kilku latach pracy publicznej, wystawiony na tyle przypadków, o których zapomnieć nie podobna, zdaje się wszelako być obcym, jak ów niegdyś zaprzaniec, którego właśnie nie uznawali bracia. Podobny zupełnie do starocianego dębu, który ogolony z liści, odarty z kory, pozbawiony snych rozległych konarów, sam tylko jeden pozostał na rozległej porębie świętego lasu”.

(Oprac. H. K.)

Homo politicus

W tej BURZY najlepszy jest przedkład Macieja Słomczyńskiego. I jeszcze dwoje wykonawców występujących gościnnie. Na koniec zaś: dekoracje Kazimierza Wiśniewskiego. A w ogóle nie ma tu burzy. Z wyjątkiem jej odgłosów nagranych na taśmę.

Szekspirowska Burza zaczyna się od obrazu burzy. I tonącego statku. Premierowe przedstawienie BAGATELI, inscenizowane przez Włodzimierza Narkowskiego (świetny debiut w Bolesławiu Smiałowskim-Skłodce Wypiańskiego w Teatrze Ludowym!) zaczyna się od bardzo długo trwającej ciszy. W mroku rozświetlonym smugą reflektora. Ze zniechęconymi jak posągami dwiema postaciami. Ciemna i jasna. To Prospero i Miranda. Zakapturzony mag i jego córka. Prospero wygląda jak mnich i przemawia niemal sakralnie. Opiera się na lasce wbitej w deskę sceny. Ta laska, ostro zakończona, jest bronią Prospera. Orazem jego walki z otoczeniem, które ujarzma przy pomocy czarów. Prospe-

gał krzywych zwierciadeł, które mu — w tle sceny — od czasu do czasu podsuwał Wiśniewski na zasadzie swobodnego dowcipu malarskiej pantomimy. Z nieco przewrotnym naturalizmem „złego smaku”. A może zresztą Narkowski zerkał tam niekiedy, tylko aktorzy nie umieli odczytać, a następnie przekazać tych ironicznych odniesień — sobie i widzom? Żeby bodaj zaznaczyć jak pod senną i nieco sztuczną powłoką tej baśni tła się przeokone lekierki komedii.

Zajmijmy się tedy aktorami. Najpierw jednak wypada wspomnieć o głównych osobach dramatu. Kim jest



Czary-mary

ro wydaje się łagodny i wyrozumiały, mimo groźnie zarysowanej sylwetki i surowości wypowiedzi. Łagodny jest przede wszystkim wobec córki, która obawia się czarodziejskich sztuczek więc ojciec po prostu usypia ją, gdy wywołuje burzę. Sen nie-sen. Burzę wspomnień i burzę w stworzonym przez siebie teatrze, gdzie łagodność nie bywa już tak jednoznaczna. Bo to jego teatr zmagający się ze światem, zyciem i namiętnościami ludzkimi. Poważna baśń, która Szekspir z naciśnięciem nazwał komedią. Nie bez racji i nie on jeden. Przed nim i po nim rozgrywały się w literaturze (i teatrze) owe przewrotne komedie ludzkie. Opowiadał pozornie serio, lecz tu i ówdzie podszyty grubym albo dyskretnym tonem buffo.

W tej komedii z Teatru Bagatela nie ma jednak komedii. A jeśli by szukać jej nikłych przebliszków, to chyba w dekoracjach na wzór projekcji tzw. żywych obrazków. Oleodrukowych sielank. Czyli czegoś w rodzaju żartobliwych komentarzy plastycznych. Reszta bowiem wystroju sceny ogranicza się do przyziemnych kotar, obramowanych jakby zmurszałymi słupami totemowymi. Niby, że to znaki szczególne zamorskich krain, które podbiłaby brytyjscy koloniści akurat w okresie, kiedy powstawało ostatnie dzieło Szekspira.

Komedie jeszcze daje znać o sobie — jak tony i ruchy pozytywki — podczas niektórych intermedii z udziałem panów i dworaków, szumowin-rozbitków wyrzuconych na ląd po zatopieniu statku. Oczywiście, przez burzę Prospera! A także na skutek niespodziewanej „laski” maga. Lecz humor tych scenek niewidoczna tiumi skutecznie reżyser i nieporadność wielu aktorów. Tu nie ma miejsca na śmiech pełny, a nawet stonowany różną skalą komediową, gdyż inscenizator tak przejął się celebrą czarów Prospera, jakby wcale nie dostrze-

Prospero? To były księżę Mediolanu, sceptyczny humanista, który ceniąc wyżej naukę od władzy, oddał przejęciowo regencję bratu. Ten zaś zdradziecko usunął go z księstwa, zawariując sojusz z wrogiem Prosperowi królestwem Neapolu. Deportowany z ojczyzny uczony-monarcha znalazł się wraz z córką na „diabelskiej wyspie”. Studia nad białą magią i jej zastosowaniem pozwoliły mu opanować ten krak, a zdkusa-potwora Kalibana uczynić swoim niewolnikiem. Podobnie, jak ujarzmionego „ducha” Ariela, któremu matka Kalibana odebrała wolność, podporządkował sobie w charakterze „podwykonawcy” czarów. Z niewyraźnym zapewnieniem uwolnienia go w odpowiedniej chwili, co miało stanowić alibi dla tolerancji i wielokudusowej filozofii-władcy. W ten sposób światły i pozabawiony — zdawałoby się — żądz władania Prospero, usiłując (?) rzadzić mądrze i uczciwie stał się „tyranem. Którym nie był do tej pory. Ba, obmyślał tymczasem zemstę nad dawnymi wrogami! Zemście służył bowiem przygotowywany „Plan Burza” oddający w ręce maga zdradców i uzurpatorów. Ale to szczególny rodzaj zemsty. Jej intencje kierują się jedynie ku pokrośmieniu „na oko” (teatralnie) nieprzyjaciół, by im potem udzielić wspaniałomyślnie przebaczenia ... Paradoxa mądrzejszej władzy po szkodzie? Światło nadziei w przewidywaniu wadliwych mechanizmów rządzenia? Przez czary-mary smętnej baśni, czy ukrytą w komedii drwinę? Szekspir, jak wiemy, mniej wierzył w bajki na ziemi. Znał swoją epokę i jej ludzi. Oceńał bez złudzeń realia świata, w którym przyszło mu żyć. Czy te realia dadzą się zmienić w przyszłości? Bez magii tajemnej, jak w kpiarskiej komedii z burzami.

Bo oto Prospero wróci (co w końcu zapowiada) do Mediolanu. Jako trium-

fator, ponieważ magicznie stłumił ponowne bunt rozbitek królewskich i dworskich. Ci ostatni sprzymierzili się na domiar z Kalibanem. Tyle, że daremnie. Tak więc wszystko wraca do punktu wyjścia przed kolejnymi burzami? Miranda poślubi syna króla Neapolu, dworacy — jak zwykle — uznają starego-nowego władcę, Kaliban z powrotem obejmie wyspę w posiadanie, zaś Ariel — duch będzie wreszcie „wolny”. Znowu baśń? A może tylko i wyłącznie moralitewy Teatr Prospe-ra czy prawdziwa komedia z filozoficznymi podtekstami Szekspira? Albo — szerzej: wciąż odradzająca się komedia świata i ludzkiej słabości?

Włodzimierz Narkowski nie odpowiedział — przynajmniej mnie — na takie pytania w zakładanym chyba dialogu sceny z widownią. Ponieważ główne czyny odpowiedzieli również aktorzy. Chęć zatem — zwłaszcza dziś — wystawić Burzę utwór dramatyczny rzekomo prosty w swej warstwie baśniowej, trzeba go zaprezentować i po ak-

tersku w niepoślednim wydaniu, i dysponując taką komediową konstrukcją wizji scenicznej, która uzasadniałaby sens współczesnego przesłania do odbiorcy. Jeśli oba elementy widowskiego zawiodą, to wybór repertuarowy niewiele już znaczy. Co gorsze, może srować się przeciw teatrowi. A przecież sam fakt, że w BAGATELI sięgnięto po posiłki spoza zespołu, by uzupełnić czołowe role przedstawienia, wydaje się potwierdzać wątpliwości przy braniu na warsztat tej sztuki. Toteż spektakl ani nie miał wymiaru „komedii ludzkiej”, ani nie był koncertem gry. Był prze-ważnie nudną namiastką moralitetu. Wadliwie lub niewyraźnie mówiono go. Odbiło się to w sumie nie tylko na wykładni ideowo-artystycznej spektaklu, lecz także (a może przede wszystkim) na rolach: Sebastiana, brata króla Neapolu (Tadeusz Wieczorek), Stephana (Rafał Czachur) i Kalibana (Piotr Różański). Inn, jako że mieli mniej kwestii do wygłaszania, więc i mniej „rzucali się” w uszy. Jedynie Prospero (Aleksander Bednarsz) oraz w mniejszym już stopniu, Miranda (Bożena Adamek) gościnnie występujący w widowisku, zasłużyli na słowa uznania. Za próbki skonstruowania lirycznego dramatu (Miranda) z ironiczną nutą „czarów” (Prospero), Ariel (Bogdan Grzybowski) ze zbyt gorliwym automatyzmem udawał ducha, jakim go zapewne pragnął widzieć reżyser, zresztą w dość pomysłowej konwencji „robo-ta”. Najzabawniejsze okazały się prze-rzynki pantomimiczne na granicy parodii kiczu z podpórka operową i Trinculo-wesołek (Julian Kilan). Ale miał on wyraźnie wesołkowaty tekst.

Więc z Burzy pozostały czary-mary rodem z klepskiego wariete pod szyldem Szekspira. Z ambicjami które same nigdy nie zagrają żadnej sztuki.

JERZY BOBER



Liberalizm nie jest naszą cechą narodową. Wbrew opinii, wspartej na negy-dziejszej tolerancji religijnej (przy czym dość niezręcznie było tępić zbrojnych w dworskie poczy kacerzy szlacheckiego na ogół pochodzenia), zatem wbrew utartej opinii skłonni jesteśmy bić we wszystko, co odbiega od utartych norm, lub przyzwyczajęń tylko. I to z rozmachem godnym lepszej sprawy. Czyż, powiedzmy, komukolwiek przyszłoby do głowy oceniać światopogląd miarą szerokości spodni? Chyba nikomu, a sam pamiętam polowania z linią w rękę: powyżej 24 cm — nasz, czyli zacny, mądry, ideowy i wogóle; 20 — chwiejny inteligent (zapewne kochanka w tle); 18 i mniej — czarna reakcja, a co za tym idzie złoździe, pijak, zboczeniec i wogóle parrycyda albo jeszcze gorzej, w czym dla odmiany ujawniają się nasze skłonności do uogólnień, tudzież niechęć do wszelkiej złożoności. Później kryteria oceny były się pięć wyżej i

wyżej, minęły środkowe partie tułowia i sięgnęły kłap (co kto nosi?), jednak zasada pozostała nie zmieniona. W powszechnym pojęciu człek, każdy winien mieć przejrzystą strukturę kryształ. Czyż ktokolwiek z Państwa — na wysunięty zarzut czyjejś głupoty np. — nie otrzymał natychmiastowej riposty „ależ to nadzwyczajnie porządny człowiek”, bądź na odwrót, nie spotkał się z podważaniem czyjejś inteligencji za pomocą argumentów moralnej natury?

Zapewne wszyscy mają podobne doświadczenia za sobą i przed sobą, niestety, jako że latoś uproszczenia dziwnie nam obrodziły, czemu się zresztą — właśnie w imię tolerancji — dziwić zbytnio nie można.

Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć twierdzenie filozofów, że nikt nie jest na tyle mądry, by jego przeciwnik nie miał choć w części racji.

Przytaczam je zaś z okazji wystawy obrazów

STANISŁAWA FRENKLA

z Londynu, czynnej w Pa-lacu Sztuki, gdyż artysta jest pięknym przykładem malarskiego liberalizmu.

W czasach jego dojrzewania bowiem — a działo się to przed półwieczem blisko — obowiązywał ścisły podział na orientację. Postimpresjonista nie hańbił się nadrealizmem, nadrealista gardził kubistą, ten spoglądał z góry na ekspresjonistę, który dla odmiany uważał postimpresjonistę za mydła jakich mało i tak da capo al fine. Nikomu też jakoś nie przychodziło do głowy (skąd my to znamy?), że w sumie nie o zwycięstwo tej czy innej orientacji idzie, lecz o rzecz nieporównanie wyższą, jaką jest stojąca ponad wszystkimi prądami sztuka. Nie o drogę zatem lecz o osiągnięcie celu, do którego dotrzeć można różnymi środkami lokomocji, pod warunkiem, że nie jadą one do tyłu ani nie mają zaciągniętych hamulców.

Frenkel więc przyjął za sztuki wszystko, co było mu przydatne. Ekspresjonista z temperamentu, do-pracowuje szczególnie ze smakiem postimpresjonizmu, komponuje płaszczyzny z renesansowym wyrafinowaniem, stapia dramaturgię z humorem i groteską.

Sam zresztą kapitalnie pisze o podłożu swej sztuki. Działo się to na Bliskim Wschodzie czasu wojny, gdzie „w miasteczku były kawiarnie, domy publiczne, sklepy i wielobarwny tłum żołnierzy, Beduinów, Greków i Sudańczyków. Patrowanie dzielnic czerwonych latarni dało mi możliwość obserwowania spraw zakazanych. Dramat, rozgrywający się dokoła, surrealistyczna wersja chaty Wujka Toma; realizm brudu, ślepoty i rozpusty fascynowały mnie bardziej, niż Tutenchamon i piramidy. Nie interesowało mnie również szukanie formy, czy też intelektualizacja problematyki malarskiej według przepisów paryskich. Rzeczywistość domagała się gwałtowniejszej interpretacji, a cały ten

świat można było strawić jedynie z dużą dozą ironii. Pamiętam akwarelę Rowlandsona „Pożar w burdelu”, gdzie z okien pionącego domu wyskakują dziewczęta, a za nimi pastorki, kupcy i lordowie. Nie pierwszy to raz lupanar dawał sposobność sardonicznego obnażenia rzeczywistości” (przypominam, by nie być posądzonym o zdrzenie aluzje; to słowa Frenkla, nie moje).

I dalej: „Przejeżdżając na motocyklu pustynią Synajską zobaczyłem z drogi i nagle ujrzałem wśród wydm piaszczystych samotną stację kolejową z semaforami i budkami sygnałowymi; kolei ani torów nie było. Sądziłem, że to miazg pustynny, ale budynki były rzeczywiste. Dowiedziałem się później, że była to pozostałość kolei budowanej przez Anglików w czasie pierwszej wojny światowej. Nowa linia kolejowa poszła inną trasą; Beduini rozkradli szyny i ogólcili budynki. Doświadczanie to uświadomiło mi, że zjawiska nabierają znaczenia poetyckiego na skutek wyodrębnienia lub przesunięcia kontekstu...”

Mądrze napisał Frenkel, co łatwo sprawdzić odwracając jego twierdzenia na wzór matematycznego równania: jeżeli bowiem wyodrębnienie lub przesunięcie zjawiska z kontekstu nadaje mu znaczenia poetyckiego, to, odwrotnie, włączenie go do tegoż kontekstu przywraca zjawisku jego realizm. Oraz: jeżeli pożar w burdelu zmusza dziewczęta, kupców, pastorków i lordów do ryzykownych skoków, to ugaszenie ognia pozwoli im spokojnie powrócić do tegoż przybytku, gdzie w zgodzie zżywać będą zasłużonych wywczasów. Nie bowiem tak nie jedna ludź, jak wspólne odświeżenie swych sił, pardon, słabości. Oczywiście pod warunkiem odkrycia w sobie choć krzty tolerancji. Bo jeśli nie... jeśli nie, to może być jeszcze gorzej.

Aleksander Krawczuk

Cmentarz Rakowicki — próba przewodnika

N I M P R Z E K R O .



C Z Y M Y B R A M E . . .

Cmentarz Rakowicki w Krakowie jest dokładnie o 10 lat młodszy od warszawskiego cmentarza na Powązkach, założonego w r. 1792. Niewiele mniejszy od tamtego obszaru, chyba dorównuje mu rangą jako miejsce spoczynku tysięcy ludzi wybitnych, zasłużonych dla naszego narodu we wszystkich dziedzinach życia społecznego w ciągu wieku XIX i XX. Można bez żadnej przesady twierdzić, że w obrębie granic państwowych są to dwa najznakomitsze Panteony polskie (Wawel i Skałki oczywiście tu nie uwzględniamy), a liczą się one również wysoko w hierarchii wielkich cmentarzy europejskich. Nie zapomnijmy i o tym, że oba mają też znaczenie dla dziejów sztuki jako galeria pomników architektury i rzeźby grobowcowej reprezentująca różne jej style na przestrzeni dwóch stuleci.

Kto przekracza bramę Powązek i Rakowicki choćby tylko po to, by odwiedzić wyłącznie jeden grób, przechodzi mimo woli jakby lekcję poglądową historii. Udzielają jej napisy grobowe, same nazwiska tych, którzy odeszli po swym pracowitym życiu.

Opuszczamy więc cmentarze w należnym skupieniu, ale nie z uczuciem beznadziejnego smutku i żalu. Myślimy bowiem nie tylko o przemijaniu i marności spraw ziemskich, ale również o tym, by i nam dane było zostawić choćby najskromniejszy ślad w życiu narodu — według naszych sił, umiejętności i miejsca, jakie los wyznaczył. Aby wszakże cmentarz mógł spełnić tę swoją rolę — tak, powiedzmy to wprost, choć brzmi nieco paradoksalnie — wychowawczą i krzepiącą, owe nazwiska i napisy z płyt grobowych muszą coś znaczyć, muszą kojarzyć się z jakimiś faktami. Nieuchronną przecież koleją rzeczy zapomnienia pochłania postaci niegdyś wspaniałe, a dla późniejszych generacji — martwe w całym tego słowa znaczeniu. Jakże więc przywrócić je życiu, jak dać blask i brzmienie pustym już dziś nazwiskom? Nie ludźmy się bowiem, w świadomości społecznej trwają tylko olimpijczycy i giganci, których czyny i dzieła wymieniają podrećniki szkolne. Z drugiej wszakże strony prawdziwa substancja kultury tworzą ci istotnie lub pozornie mniej oryginalni, mo-

że niegenialni, ale przecież wielcy swą pracą, utalentowani, gorliwi w służbie wartości, które uznali za najwyższe. O nich podrećniki milczą lub zaledwie wspominają, z każdym nowym pokoleniem odchodzą coraz głębiej w cień, aż wreszcie znają ich tylko specjaliści. Widomym zaś znakiem owego pogrążania się w mroku są niszczące groby, zatarte tablice, zaniedbane otoczenie. Przechodnie cmentarni odczytują z trudem ledwie widoczne nazwisko, chętnie by posłuchali kogoś, kto by objaśnił, kim był ów zmarły — lecz niewielu się znajduje mogących służyć za przewodnika, co cierpliwie objaśnia, wskazuje, jakby wskrzesza cienie dawnych znakomitości.

Dla wielkich cmentarzy, jakimi są ten na Powązkach i Rakowicki, niezbędne są przewodniki w formie książek. W tym wszakże zakresie obu cmentarzy, skądinąd tak podobnych do siebie, jest bardzo różny. Powązki doczekały się kilku opracowań w rozmaitych ujęciach. A więc: „Cmentarz Powązkowski” K. Wł. Wójcickiego sprzed lat przeszło stu, obecnie dostępny też w przedruku; „Album Powązek” W. Jezi-

rowskiego; kilka małych przewodników, wśród nich S. Sempolowskiej; „Cmentarz Powązkowski” Stanisława Szenica z r. 1979, dający w porządku chronologicznym krótkie biografie wybitnych osób tam pochowanych od początków aż po r. 1850; w przygotowaniu są dalsze tomy tego znakomitego dzieła. A jak ma się rzecz z cmentarzem Rakowickim? Porównanie wypadło zawstydzająco dla krakowian. Jeszcze przed I wojną ukazał się przewodnik pióra Stanisława Cyrankiewicza, będący w istocie tylko suchym rejestrem nazwisk i dat. Owszem, znajdzie się nieco artykułów, w przygotowaniu jest kilka rzeczy monograficznych, wśród nich historia cmentarza i rejestr jego zabytków z punktu widzenia historii sztuki. Kiedy jednak te opracowania ujrzą światło dzienne, nikt nie potrafi powiedzieć — tym bardziej, że nie są jeszcze ukończone. Trzeba więc stwierdzić po prostu, że nie istnieje praktycznie nic, co by mogło ułatwić orientację w tym wielkim cmentarzu i wskazać, jak wielkie są nazwiska i godne pamięci dzieła tych, którzy tu złożono.

Co można uczynić w tej sytuacji, by pomóc staremu cmentarzowi i by podnieść zaiste grobową płytę milczenia, jaką przykryła tyle mogił obojętność i nieświadomość potomnych? Nim ukażą się tamte prace widzę tylko jeden sposób: omawiać w formie krótkich opisów groby i życie przynajmniej niektórych zmarłych tu spoczywających. A czynić to można nie tyle w porządku chronologicznym, jak Szenic, lecz topograficznym, to znaczy idąc kolejno poszczególne alejki, aby ułatwić orientację. Tak stopniowo powstanie zbiór kilkudziesięciu, może kilkuset zwiezłych notatek informacyjnych — przewodnik po cmentarzu, ale też po rejonach naszej historii i kultury mniej znanych ogółowi.

Taki jest duch, sens i cel mego zamierzenia, któremu Redakcja zechciała łaskawie udostępnić swe łamy. Poszczególne rozdziały ukazywać się będą mniej więcej co dwa tygodnie.



...os, wdzięk i ostrość słowa, lecz wzajemnie zwalczają się. Stąd właśnie bierze się tak bardzo zauważalna w pracach Marka tęsknota za elazą. Gdyby szukać rodowodu stylistycznego wystawianych prac, należałoby wymienić dwa nazwiska — Wyspiańskiego i Witkacego. Pastele składające się na „Zapis czysty” stanowią syntezę cech twórczości dwu — jakże znakomitych w tym kunszcie — artystów. Oglądając urokliwe „bukiety okolicznościowe”, przechodząc obok technicznych spokojem pejzaży, zatrzymujemy się wzruszeni niewinnym podglądaniem snu synka artysty, by w chwili później spojrzeć w twarze sportretowanych przyjaciół Marka. Rysunki te oprócz piękna rejestrują faktycznie ciszę, odznaczając się naprawdę dobrym rzemiosłem. Odwiedzając tę trwającą do 7 marca ekspozycję miłośnicy talentów muzycznych Marka Grechuty znajdą okazję do uzupełnienia obrazu jego osobowości artystycznej.

Poezja fascynowała Marka od wczesnej młodości. To tłumaczy fakt, że w momencie kiedy na estradach królowała pod postacią „Czerwonych gitar” czy „Trubadurów” mocne uderzenie, Marek Grechuta pojawił się jak duch z innej epoki, śpiewając teksty Mickiewicza, Wyspiańskiego, Gałczyńskiego, a także wiersze własne. W tym miejscu należy zaznaczyć, że skład instrumentalny zespołu „Anawa” — skrzypce, altówka, wiolonczela, gitara i fortepian, był wówczas w tzw. muzyce młodzieżowej całkowicie niepowtarzalny i jedyny na świecie. Marek nigdy nie pragnął fascynować wokalistyką. Świadomie wybierając technikę melorecytacji (oscyłowanie między powiedzeniem a zaśpiewaniem tekstu) uważał za supremację słowa nad muzyką. Doprowadziło to w rezultacie do wykształcenia własnej, indywidualnej metody wykonawczej, której wierny pozostał do dnia dzisiejszego.

Grechuta

GDY wybierałem się do Galerii „Emceka-Forum” na wernisaż rysunków Marka Grechuty, nie przypuszczałem — jak większość zaproszonych gości — że uczestniczyć będę w wydawnictwie niezwykłym. Okazało się, że wystawa zatytułowana „Zapis czysty” zorganizowana została z okazji jubileuszu — jak to określili autor — „15-lecia hałasowania w pięknym Krakowie”. Kokieterijne oświadczenie (wszak Grechuta z zespołem „Anawa” ma się pod względem głośności do grupy „Maanam” jak słuchawka telefoniczna do gigantofonu) kryje gorzką refleksję nad nieubłaganiem przemianami czasu. W 1987 roku podczas eliminacji do VI Konkursu Piosenki Studenckiej zadebiutował 22-letni student III roku Wydziału architektury Politechniki Krakowskiej — Marek Grechuta. Zanim jednak przystąpił do przypomnienia działalności artystycznej tego kompozytora, poety i piosenkarza, pragnę podzielić się kilkoma uwagami na temat jego rysunków.

Twórczość plastyczną traktuje Marek Grechuta jako hobby. Będąc jednak absolutem Politechniki, architektem i byłym członkiem naukowego koła rysunku przy katedrze prof. Wróblewskiej, uważa, że ciąży na nim odpowiedzialność większa niż na innych „malarzach niedzielnych”. Jego zdaniem — „poezja jest plastyką myśli, a malarstwo ma sa-

HISTORIA JEDNEJ PODROŻY

słowa i m. Marek Grechuta

Na okraj miasta wyszło kilku takich z których każdy o podróży inną zbudował dworzec kolejowy każdy kupił sobie bilet w nim

Lecz kiedy już pociąg nadjechał i stał na peronie zdyszany ktoś spytał — więc dokąd jedziemy ustyszał — na razie usiadamy

Po chwili już patrząc przez okna rzucali okrzyki zdumienia mijali widoki tak piękne że mogli się spełniać marzenia

Pędzili tak dalej i dalej szukając piękniejszej wciąż ziemi ktoś spytał — więc gdzie wysiadamy ustyszał — na razie jedziemy

Rozmowy ciągnęły się długo i pewno by jeszcze potrwały lecz pociąg już bieg swój zakończył a każdy ten postój pochwalił

Zaś kiedy już wyszli z wagonów to nagle zdumienia usiedli ktoś spytał — więc dokąd my jesteśmy ustyszał — na razie tu gdzieśmy wsiadli

Lecz gdyby ktoś mylnie osądził że w całej historii jest strata niech wie, że podróże kształcą a zwłaszcza — dookoła świata

MOWA CODZIENNA

Mowa codzienna z której samej w sobie nikt jeszcze nigdy domu nie zbudował nikt jeszcze nigdy najadł się do syta wypił przysłodził rzeczy nie kupował

Jesteś więc tylko pustym skrawkiem ziemi pustym talerzem dzbanem i nagością kochać cię taką mogą tylko wyłudnieni dla których mówić słysze jest radością

A przecież kiedyś ktoś ciebie wymyślił żeby dla tych którzy cię wymawiają było wcale nie gorzej jakoś lepiej od tych co się inaczej namawiają

Nad tym się biedził Chrobry i Batory na czwartkowych obiadach język gościł pod zaborem do każdej pieśni skory kiedy był kółkiem w gardle kiedy pościł

Tyle słów z czasem szeptów wielka rzeka wszystko z radości wszystko z cierpliwości bowiem ta mowa wierzy i narzeka na takie chwile niepożyteczności

Kiedy jest tylko pustym skrawkiem ziemi pustym talerzem dzbanem i nagością kochać cię taką mogą tylko wyłudnieni dla których mówić do pnia jest radością

MAREK GRECHUTA

Jak już napisałem, Marek Grechuta zadebiutował w roku 1967. Jury VI Konkursu Piosenki Studenckiej pod przewodnictwem Kazimierza Rudzkiego, przyznało mu w kategorii wykonawczej II nagrodę (po Maryli Rodowicz), a „Tango Anawa” z muzyką Jana Kantego Pawlusińskiego uhonorowane zostało nagrodą dziennikarzy. W rok później Grechuta wystąpił na festiwalu w Opolu, gdzie otrzymał nagrodę za „Serce”. Po otrzymaniu w 1969 roku nagrody Telewizji Polskiej za kompozycję „Wesele” (tekst tego utworu jest kompilacją dwóch scen z dramatu Wyspiańskiego) rozpoczęła się poważna praca. Jej rezultatem — 130 skomponowanych piosenek (z tego połowa do tekstów własnych), siedem płyt dwuokrajnych i pięć tzw. singli (nie licząc współudziału w dziesięciu płytach), udział w kilku filmach telewizyjnych i niezliczona ilość koncertów w kraju i za granicą.

W roku 1971 główną nagrodą ministra kultury i sztuki nagrodzony został na festiwalu w Opolu „Korowód” Marka Grechuty z tekstem Leszka Moczulskiego. Był to — jak się później okazało — jeden z przełomowych momentów w życiu artystycznym Marka. Ulegając namowom Leszka Moczulskiego, skomponował muzykę do przeszło dwudziestu tekstów polskich poetów współczesnych (Moczulskiego, Silińskiego, Fabera, Lipskiej i innych). Tak powstał program zażyłowany „Droga za widnokręsem”. Występując po raz pierwszy z zespołem „Anawa” w towarzystwie muzycznej grupy „WIEM” (W Innej Epoce Muzycznej) objechał z tym właśnie programem w latach 1972—1975 całą Polskę.

Kolejnym bardzo istotnym etapem estradowej kariery Marka Grechuty stał się udział w słynnym musicalu „Szalona lokomotywa” reżyserowanym przez Krzysztofa Jasńskiego. Muzykę do tego witkacowskiego dramatu o wewnętrznych rozdźwiękach artysty skomponował Marek wspólnie z J. K. Pawlusińskim w roku 1976. Nowa w dotychczasowej działalności forma pozwoliła Markowi na wykorzystanie swoich zdolności aktorskich i znacznie poszerzyła zakres oszczędnie dotąd stosowanych środków wokalnych. W roku 1977 Marek Grechuta wystąpił po sześciolatej przerwie na festiwalu w Opolu, zdobywając główną nagrodę za utwór „Hop szklaną kę piwa”. Podczas tego samego festiwalu wyróżniono zostały dwie inne piosenki Marka: „Guma do żucia” w drapieżnej dynamicznej interpretacji Krystyny Jandy, oraz

„Gdzie mieszkasz nocy” pięknie śpiewana przez Teresę Haremze. Po okresie „Szalonej lokomotywy” powrócił Marek Grechuta wraz z odnowionym zespołem „Anawa” do uprawiania przez siebie stylu. Powstały muzyczne portrety poetów — „Malinowy chruśniak” Lesłama i „Psalmy na użytek domowy” Nowaka. Prowadząc ożywioną działalność estradową występował czasem w kabarecie „Piwnica pod Baranami”, jednak udział w improvisowanym programie nie w pełni satysfakcjonował go artystycznie. Dzięki przychylności władz miejskich udało się Markowi otworzyć w 1981 roku swoją własną piwnicę w hotelu „Pod Różą”.

Z chwila „urządzenia się” w pięknych podziemiach hotelu „Pod Różą” artysta postanowił ograniczyć ilość wyjazdów, co sprzyjało intensywniejszej pracy twórczej. Powstał nowy autorski cykl „Śpiewających obrazów”. Aktualnie Marek Grechuta pracuje nad dwoma cyklami piosenek do tekstów własnych. Są to „milczące kamienie” — seria ballad zainspirowanych pięknem zabytków architektonicznych, oraz bajki „dla dzieci” (m. in. znane już publiczności uroczyste piosenki — „Kołysanka nie ortograficzna”, czy „Słońce zaświeciło nam”).

Trudno jest jednoznacznie określić rodzaj twórczości muzycznej Marka Grechuty. Korzystając z możliwości jakie stwarza stylizacja, czerpie on ze zdobyczy języka muzycznego wielu epok (w ostatnich kompozycjach coraz częściej pojawia się technika impresjonistyczna). Czyni to z wdziękiem i smakiem uważając, że warstwa dźwiękowa jest pretekstem do przekazania treści. Jeszcze trudniej byłoby ocenić jego twórczość poetycką. Osobiście uważam, że formułowanie sądów wartościujących milja się w tym przypadku z celem. Najważniejsze jest to, że przy całym swym uroku pobudza ona do refleksji niezawodną od 15 lat publiczność. W tym miejscu najlepiej przemówi sam autor słowami jednego ze swych wierszy:

A ja chcę z tysiąca spraw gdy leżą kartka po kartce kamień zająć i śpiewem zamienić je w latawce

W ten sposób wraz ze swoim kameralnym, „salonowym” jakby zespołem instrumentalnym Marek Grechuta stara się wnieść nowe współczesne treści do arci XIX-wiecznych amantów i dandyśów.

ZBIGNIEW LAMPART



daniach jako ochotnicy, po zakończonym seansie badani nie zdają sobie sprawy, że cofnięto ich w odległe epoki, nie poznają rzeczy, które w tym czasie wykonywali i nie pamiętają słów, które wypowiadali. Wszyscy ochotnicy poddawani są przed eksperymentem dokładnym badaniom psychiatrycznym, aby wykluczyć ewentualne schorzenia. Znaną są osiągnięcia sokojskiego Instytutu Sugestologii, który wykorzystuje pewne znane w psychoterapii teorie do kształcenia praktycznych umiejętności. Oczywiście są to badania zupełnie inne niż w przypadku Rajkowskiego, ale trudno wszystkie dotychczasowe osiągnięcia psychoterapii pomijać milczeniem. Jest bowiem sprawa niezwykle wagi wszystko to, co zbliża człowieka do poznania praw rządzących jego naturą, reakcjami, wszelkimi „niesamowitymi historiami”, które są jego udziałem. I błądem jest odswajanie tych spraw od nauki, błądem wszelkie pozamyślowanie ich interpretacji. Tych wszystkich zaś, którzy nie widzą przyszłości dla psychoterapii należy traktować z pobłażliwością, bo czyż Roentgen, kiedy odkrył promienie katodowe nie był uważany za maga?

URSULA ORMAN



REPORTAŻ, DOKUMENT czasu politycznego

Reportaż jest świadkiem swojego czasu. Bez upiększeń zapisuje rzeczywistość, społeczne niepokoje i nadzieje. I ma reportaż jeszcze jedną ważką cechę. Jest — jak bodaj żaden gatunek dziennikarski i literacki — dokumentem czasu politycznego. W kształcie prasy, w kształcie reportażu uwidacznia się sposób, w jaki władza chce rozmawiać ze społeczeństwem. Uwidacznia się granica, gdzie władza mówi: dosyć, dalej nie pozwalam!

Wydawanie książek ciągnie się u nas latami. Tylko czasami — jak ostatnio Wydawnictwu „Iskry” — zdarza się wydać książki w takim tempie, że zdąży być jeszcze aktualna.

Myślę o serii 5 debiutanckich tomików, które były plonem konkursu ogłoszonego w 1979 r. Książki były gotowe w rok później! Ale ani Ewa Berberysz, ani Tadeusz Robak nie mieli szczęścia. Ich książki są mocno spóźnione w stosunku do wydarzeń. I opowiadają na dobrą sprawę o minionej już dekadzie — dekadzie Edwarda Gierka i jego ekipy. Opowiadają w taki sposób, jaki wówczas był możliwy. A więc niesłuchanie ogólnie, bo przecież w żadną stronę rozmowę ze społeczeństwem tamta władza nie chciała się wadzić. Dopuszczalne dla dziennikarzy granice były ciasne i trzeba było omijać raczej fortele: że właściciel nie o to chodzi, o czym się pisze...

Tym co łączy obie książki jest tylko to jedno. Zmudne wysiłki, aby jakoś nieco oddalić się od dopuszczalnych granic. Poza tym pisane są całkiem innym językiem, utrzymane w innej konwencji. Różne są też postawy autorów wobec czytelników i bohaterów.

„BYLE DALEJ”, zbiór reportaży Ewy Berberysz wydany przez KAW zawodzi każdego, kto pamięta ostatnie teksty tej autorki drukowane w prasie po sierpniu 1980. Pisała je wprost, dośladnie, dobiegała tematy bardzo aktualne i starała się być najbliższą ważkich wydarzeń. Reportaże z książką natomiast, jeden w drugi, poruszają tematy pasjonujące na pewno, ale od centrum życia dosyć oddalone. Bo tak: człowiek postanawia zgubić swoją tożsamość, więc jedzie w Bieszczady („Bez adresu”). Stripstick opowiada koleje życia tej dramatycznej, co niebałajki („Rozpruć lalek”). Przykładna żona, zasłużony pracownik zasiada na ławie oskarżonych jako malwersantka („Drobną rozrzućność”). Matka upokarzana przez własnego syna („Genitrax”) — i tak dalej.

Metoda, którą autorka wybrała na przekroczenie granic zakreślonych przez władzę dla dziennikarza jest następująca. Wybrała tematy „bezpieczne”, pokazała, że chociaż w telewizji świat jest piękny, na obrazkach bywa szaro, że, smutno. W telewizji ludzie się uśmiechają, przywódcy ściskają im ręce — ale na obrazkach o uśmiech trudno. Oprócz telewizyjnej rzeczywistości istnieje zatem coś jeszcze na obrazkach życia — a może nie tylko tam?

Gdyby do oceny reportaży zebranych w tomiku „Byle dalej” stosować kryteria ostatniego czasu, kiedy najbardziej powinna liczyć się prawda formułowana wprost, dziennikarska diagnoza stawiana bez kamuflażu — ta ocena wypadłaby źle. Ale to ważne, że pod każdym reportażem autorka zapisala datę. Są to lata 1976—1979. Szybko w lata dekady, lata milczenia. Oceniając więc nośność społecznych tych tekstów przy pomocy tamtych kryteriów trzeba im wyświadczyć cenną usługę. Nie tylko za wybraną metodą opisaną rzeczywistości, ale także za język oszczędny i klarowny, za uchwycenie psychologicznej prawdy o ludziach.

Reportaże Tadeusza Robaka zebrane w tomie „CO BYŁO, A NIE JEST” były pisane w tym samym czasie. Autor nieco inaczej usiłuje znaleźć się bliżej prawdy. Za każdym razem wyszukuje temat bardzo starannie, aby w sprawach ważkich społecznie, pierwszorzędnych mimo znanych ograniczeń posunąć się jak najdalej. Ile można — a raczej, ile wtedy było można. Złazł w jednym reportażu formułując wprost odpowiedź na pytanie: Cemu, chociaż Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej, jakos tego nie widać? Myślę o reportażu „Wysiadac na przystanku „Święty spokój”. Kilku bohaterów opowiada autorowi, czemu w pracy nie opłaca się im dawać z siebie tyle, na ile ich stać. Po prostu dlatego, że nic z tego nie będą mieli, a jeśli już coś — to same kłopoty. A więc nie ma po co stawiać się coraz aktywniejszym. Ten tekst po dzień dzisiejszy nie stracił swojej aktualności. Już wiemy, że było źle, wiemy, dlaczego było źle. Ale co należy zrobić, aby ludziom dostarczyć bodźców do lepszej pracy — tego nie wiemy. I im dłużej będziemy formułowali tę odpowiedź, tym szybciej, coraz szybciej będziemy pogrążali się w sytuacji bez wyjścia.

To była dygresja, a wracając do tomu reportaży wydanych przez Wydawnictwo Literackie. Autor sam tłumaczy na wstępie z różnorodności tematów „od pieca do śłany” — ale mnie akurat ta nie całkiem spójna kompozycja książki nie razi. Może natomiast budzić zastrzeżenia co innego. Wzidzenie świata takie, jakie prezentuje Tadeusz Robak. Wzidzenie wydarzeń i ludzi wyłącznie poprzez zjawiska ogólne. Może budzić sprzeciw dopasowywanie losów ludzkich do ogólnej tezy, traktowanie człowieka „posiłkowem”, aby ostateczny wniosek wypadł właśnie tak.

Tworzymy tekstów Ewy Berberysz jest zawsze ludzki los. Tworzymy tekstów Tadeusza Robaka są zawsze zjawiska społeczne, prawdy ogólne, nie związane z opisaną po imieniu i nazwisku osobą. Takim wzidzeniem świata został też podporządkowany przez autora język reportażu. Zdania rozbudowane, bez wieloznaczności, zakończone klarownym podsumowaniem. Robak patrzy na rzeczywistość chłodno i z koniecznym dla dziennikarza — świadka swojego czasu — dystansem. Ewa Berberysz na odwrót — daje się ponieść emocjom. Naprawdę trudno o bardziej różne style pisania i postawy wobec świata. Ale dziś, z perspektywy czasu, jaki upłynął między datą napisania tych tekstów, a datą ukazania się książek w księgarniach trudno któremuś z autorów przyznać, że wybrał właściwą swoją postawę i metodę pisania. W czasach, kiedy władza nie chciała rozmowy ze społeczeństwem każdy z piszących próbował na własną rękę szukać kontaktu z czytelnikami.

Alle poprawda — pozostanie półprawda mimo wszystkich wysiłków, które wówczas — nie bez trudu — ludzie pióra podejmowali. Z okresu propagandy sukcesu pozostanie więc w reportażach zapis rzeczywistości społecznej bardzo okaleczony. Innego tamten czas polityczny nie dopuściłby wcale do głosu.

(EL)

Ewa Berberysz „BYLE DALEJ”, KAW, Warszawa, 1981 r.
Tadeusz Robak „CO BYŁO, A NIE JEST”, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1981 r.

